

NASZA GENEALOGIA

W NUMERZE:

„Była to wizja Polski, którą urzeczywistnialiśmy przez minione 35 lat i urzeczywistniamy nadal. Ta wizja ma olbrzymią historyczną genealogię i wszystkie historyczne przesłanki, o których tutaj mówiliśmy uwarunkowały sukces tej wizji, jej realizacji. To, co najpierw było szczytną ideą, a później stało się mniej lub bardziej realistycznym programem, celem konkretnego działania, mogło w Polsce Ludowej stać się rzeczywistością.” — A. F. Grabski.

Fragment z redakcyjnej dyskusji, w której udział wzięli: prof. dr Stefan BANASIAK, doc. dr Alina BARSZCZEWSKA i prof. dr Andrzej F. GRABSKI.

CIĄGLE NAJWIĘKSZA

O Nowej to Hucie piosenka...

Nowa Huta. Czysta, godna, uczciwa, przyjazna. Gotowa w każdej chwili oddać tron śląskiej siostrze, ale na razie... ciągle jeszcze...

NAJWIĘKSZA!

Andrzej Makowiecki

PONADTO:

„JAN KOCHANOWSKI, W RYT-
MACH SWOICH NIESMIERTELNY”
ANATOMIA SUKCESU
OPOLSKIE PIOSENKI I NIEPORO-
ZUMIENIA
ZYCIE Z GWIAZDY
NA BŁĘDNYCH SZLAKACH KOSMI-
TOW
ZAMIAST ZAŁĄCZNIKA

RYSZARD
BINKOWSKI

ROZUMEM

Przed laty namawiano go do napisania wspomnień, ale on zawsze odmawiał twierdząc, że szanuje tylko obiektywną prawdę i nie potrafi „malować”. Pisali o nim inni, ciepło i z życzliwością, bo on, mimo nawalonych historycznych zdarzeń, błędów, upadków, goryczy i przeżytych cierpień, nigdy się nie załamiał, pozostając uczciwym człowiekiem i autentycznym komunistą. Jako I sekretarz KW w Szczecinie zachował w pamięci teatr, w którym działał Roman Bratny, a w kościołach zapalenie barków, bo tam nie było morskiego powietrza, tylko ta okropna wilgoć Zalewu, a poza tym „odezwwały” się noce spędzone na betonach w Berezie Kartuskiej, i dlatego, jadąc tramwajem, obijał się boleśnie o ławki, ponieważ nie mógł podnieść ręki, żeby się przytrzymać uchwyty. Leczył się, demonstruje, jak to potrafi teraz sięgnąć ręką do tyłu głowy, ale dolegliwości reumatyczne pozostały.

I SERCEM

Dalszy ciąg na str. 7

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź



NR 29 (1128) ROK XXII

22 LIPCA 1979 R.

CENA 3 zł

mała ojczyzna

TADEUSZ
GICGIER

I
Moją małą ojczyzną jest miasto olbrzymie
z tysiącami gniazd ludzkich, osiadłych tu ptaków,
gdzie kiedy słońce wstaje — wstaje zawsze w dymie,
gdzie kiedy serce bije — bije w rytm warsztatów.
Herbem mojego miasta jest czółenko tkackie,
jeśli mu dodać żagiel — w Łódź się przeobraża,
a w Łodzi brać włókiennicza, śpiewy zawadiackie,
ręce wprężone w pracę i bruzdy na twarzach.
Świątem mojego miasta jest majowe święto
i majówki podmiejskie, i pogoda lipca,
gdy płyną ludzkie rzeki falą lata wzdętą,
której odcieni żaden nie wyrazi piewca.

II

Moją małą ojczyzną jest mała uliczka,
która co krok przystaje, zagląda przez płoty,
widzi domek drewniany i chłopaka-wilczka,
który w zdziczałych sadach bawi się w podchody.
Moim miejscem na ziemi jest ten dom i szkoła,
historia jednostkowa i historia Polski,
przodkowie w kazamatkach, powstania, cień orła,
wykuwane na pamięć — w pamięć wryte strofki.
Do tych strof chciałbym dodać jedną małą zgłoskę,
byleby była dźwięczna, tamtych wierszy godna
i potrafiła unieść miasto me i Polskę,
a jeśli zgłębia dzieje — zgłębiła je do dna.

1979



Foto: Archiwum

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CIĄGLE NAJWIĘKSZA

Kiedy dziesięć lat temu pojechałem do Krakowa i na Rynku Starego Miasta zapytałem, w jaki sposób dostać się najłatwiej do NOWEJ HUTY, otrzymałem odpowiedź:

— Tramwajem, czwórka.

Oto znowu jestem w Krakowie (lipiec 1979) i ponawiam to samo pytanie.

Odpowiadają mi znowu:

— Czwórka.

Nie wierzę. Czyżby w zakresie komunikacji nic się nie zmieniło?

Podchodzę do taksówkarza, bo to przecież człowiek bywały.

Powtarza:

— Jeśli nie taryfą, to czwórka.

Zaczepiam milicjanta ze służby drogowej, młodego, uprzejmego chłopca. Uśmiechając się, wskazuje mi ręką przystanek:

— Czwórka.

— A nie ma żadnych autobusów?

— Są.

— I w dalszym ciągu twierdzi pan, że najlepszy będzie tramwaj.

— Tak. Z tego miejsca — tak.

Wsiadam więc w niebieską czwórkę. Piękne miłe zaskoczenie: są miejsca siedzące. Drugie miłe zaskoczenie: szybkość. Potem zdumienie: ani śladu po dawnych chałupach, wioskach i polach, które dzieliły stary Kraków od swojej administracyjnej nowohuckiej dzielnicy. Wszędzie albo zakłady przemysłowe, albo bloki mieszkalne z nieobeszczym ieszce tynkiem, albo place pod nową budowę. To, co kiedyś było tylko śmiałym przypuszczeniem, dzisiaj jest faktem:

Dalszy ciąg na str. 5

WOJSKO POLSKIE

Pokojowy czyn żołnierski dla kraju zrodził się już nazajutrz po wkroczeniu żołnierzy polskich na pierwszy skrawek ojczyźnej ziemi.

Na wyzwolonych terenach wojsko było jedyną dobrze zorganizowaną władzą. Wielu żołnierzy delegowano — jeszcze przed zakończeniem wojny — do pracy w aparacie państwowym i partyjnym. Z żołnierzy AL oraz wojska tworzone organa MO i służby bezpieczeństwa.

Żołnierze przystąpili do rozminowania obszarów Polski bezpośrednio po ich wyzwoleniu, umożliwiając w ten sposób uruchamianie zakładów przemysłowych, wyścieleń dróg, szlaków kolejowych i dróg kołowych. W okresie akcji rozminowywania saperzy ludowego Wojska Polskiego wykryli i zniszczyli blisko 15 mln min i ponad 69 mln sztuk amunicji różnego rodzaju. Rozminowanie terenu Polski zakończono w zasadzie dopiero w 1956 r. Sukcesy saperów zostały niestety okupione znacznymi ofiarami. W sumie w okresie akcji rozminowania poniosło śmierć 424 saperów a 587 zostało rannych.

Polityczne zaangażowanie żołnierzy w wielkich kampaniach politycznych, ich aktywny udział w Referendum Ludowym i w wyborach do Sejmu Ustawodawczego stanowiły ważne ogniwo sił ludowo-demokratycznych. W końcowej fazie kampanii wyborczej brało udział, tylko w grupach ochronno-propagandowych, 42 proc. całego stanu osobowego wojska. Żołnierze Wojska Polskiego odegrali decydującą rolę w rozbiu reakcyjnego podziemia i band-UPA.

Dla gospodarczego rozwoju kraju istotne znaczenie miała działalność i praca Dywizji Rolno-Gospodarczej, powołanej przez Naczelnego Dowódcę WP 13 kwietnia 1945 r. Dywizja składała się wyłącznie z żołnierzy-rolników. Jej zadaniem było uprawianie ziemi leżącej odległościem oraz zabezpieczenie inwentarza na terenach wyzwolonych. Dywizja przejęła na Pomorzu Zachodnim 255 majątków o łącznej powierzchni 111.325 ha. Do końca 1946 r. przekazała ona władzom cywilnym około 170 uruchomionych obiektów gospodarczych.

Dla przyszłości i rozwoju Polski Ludowej niezwykle ważną sprawą było zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. Żołnierze zdemobilizowani osiedlali się w 12 nadgranicznych powiatach wzdłuż Odry, Nysy Łużyckiej i Bałtyku. Powołano Generalny Inspektorat Osadnictwa Wojskowego na czele z gen. Karolem Świerczewskim. Liczbę osiadłych wraz z rodzinami żołnierzy na ziemiach odzyskanych szacowano na 200.400 osób. W 1946 r. osadnicy wojskowi w pasie przygranicznym stanowili 60 proc. zamieszkałej tam ludności polskiej.

Na przestrzeni całej 35-letniej historii Polski Ludowej nasze ludowe

Sily Zbrojne ofiarne wypełniały swoją główną powinność — walkę o wyzwolenie kraju, a następnie czyniły i skutecznie pełniły służbę obronną w imię bezpieczeństwa i pokojowej pracy narodu. Pod przewodem partii, wspólnie z całym narodem aktywnie współuczestniczyły w budownictwie socjalistycznym, były i są ważnym czynnikiem patriotycznej integracji narodu polskiego.

Żołnierze ludowego Wojska Polskiego odbudowywali Warszawę, Gdynię, Gdańsk, Wrocław, Szczecin, Poznań i inne miasta. Ewidentny i wymierny jest również wkład żołnierzy w rozbudowę Łodzi i regionu łódzkiego. Wojsko ma poważny wkład w budowę Nowej Huty, zapory wodnej w Goczałkowicach, zakładów przemysłu maszynowego w Mielcu, wielu kopalń, kanałów, linii energetycznych, węzłów drogowych i modernizację sieci drogowej. Szczególne znaczenie ma tu wysiłek i ofiarna praca wojsk inżynierii-budowlano-

Ewidentnym tego przykładem jest działalność Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. L. Waryńskiego w Łodzi, które nieustannie pogłębia i umacnia więzi z łódzką klasą robotniczą, z młodzieżą szkół średnich i wyższych oraz pracownikami różnych instytucji.

Szczególnie duży wkład w rozbudowę kraju mają naukowcy z Wojskowej Akademii Technicznej. W naszym kraju nie ma prawie dzisiaj takiej dziedziny przemysłu, w której nie zostałyby praktycznie zastosowane rozwiązania konstrukcyjne, urządzenia i aparatura, opracowane w tej wojskowej uczelni. Zbudowany tam pierwszy w Polsce laser neonowo-helowy, a następnie laser rubinowy zastosowano z powodzeniem w przemyśle. Prowadzone od wielu lat badania w tej dziedzinie zostały uwieńczone sukcesem również w miernictwie górniczym, gdzie po raz pierwszy znalazły zastosowanie w Legnicko-Głogowskim Okręgu Miedziowym. Również przy współudziale naukowców WAT zbudowano całą serię elektronicznych maszyn matematycznych. Z osiągnięć naukowych tej uczelni skorzystała również Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu. W ramach współpracy Wydziału Mechanicznego oraz Katedry Metaloznawstwa i Technologii Metali przeprowadzono badania metalograficzne związane z wdrożeniem w FSO nowej techniki obróbki cieplnej w urządzeniach próżniowych.

Przykładem osiągnięć badawczych wojska wykorzystanych przez gospodarkę narodową mogą być także prace Wojskowego Instytutu Techniki Pancernej i Samochodowej, które m. in. pozwoliły na wyeliminowanie przyczyn pęknięcia ram samochodowych na zapobieganie korozji, usuwanie stwierdzonych wad konstrukcyjnych w kombajnach zbożowych itp.

Odnajdując należy także duże osiągnięcia wojskowej służby zdrowia. W pracach tych szczególne zasługi mają: Wojskowa Akademia Medyczna, Centrum Szkolenia Podplępowego WAM, Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej i inne placówki wojskowej służby zdrowia.

Udział i pomoc wojskowych naukowców w rozwiązywaniu problemów naukowo-badawczych dla potrzeb gospodarki narodowej i całego społeczeństwa spotyka się z wysokim uznaniem kierownictwa partyjnego i państwowego, przedsiębiorstw oraz zakładów przemysłowych. Wojsko w tym układzie nie jest tylko konsultantem — w miarę swych możliwości wnosi ono do ogólnego potencjału ideowego, intelektualnego i gospodarczego kraju konkretne i znaczące wartości. W tym wyraża się szczególnie wkład wojska w realizację programu naszej partii.

NIE TYLKO HISTORIA

MICKIEWICZOWSKI BLOK - NOTES

Kiedy znakomity pisarz i historyk literatury Janusz Odrowąż-Pieniążek nie był jeszcze dyrektorem Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie nazywał wydawany przez tę placówkę „Blok — Notes” po prostu „Kołobrullonem” i pokpiwał sobie z pretensjonalnej nazwy, jaką nadał temu wydawnictwu jego twórca Adam Mauersberger. Nie wiem, czy dyrektor J. Odrowąż-Pieniążek pokpiwa sobie dzisiaj nadal z tytułu periodyku, którego jest obecnie redaktorem naczelnym. Najważniejsze jednak, że dba o to, by był on nie tylko nadal pięknie wydawany, ale i wartościowy, by przynosił prócz aktualnej informacji o życiu Muzeum również i najcenniejsze materiały i opracowania, jakie powstały w kręgu staromickiewickiej placówki. „Blok — Notes” ma dziś charakter almanachu i niezmierznie trudno go znaleźć: ostatni tom (1978) ukazał się wprawdzie w pięknej szacie edytorskiej, na doskonałym papierze, z przepięknymi ilustracjami i reprodukcjami, jednakże w nakładzie liczącym sobie „aż” 600 (słownie: sześćset) egzemplarzy, co zważywszy reprezentacyjne obowiązki Muzeum, zapewne ledwie starczy na obowiązkowe podarki dla co najmniej kilku gości muzealnych i na wymianę z innymi podobnymi placówkami naukowymi. Tomu tego kupić nie sposób, zresztą nie wydrukowano nawet na nim ceny: ja do stałem go po prostu od jednego z autorów, publikujących w nim swe teksty.

A nowy „Blok — Notes” jest rzeczywiście interesujący, można by nawet rzec, że pod pewnym względem rewelacyjny. Nie mówmy tego jednak zbyt głośno, by nie zapeszyć — dobrze by było, aby i przyszłe tomy przedstawiały się podobnie. Mamy tu więc nad wyraz cenne studium o nieznanej karcie autografu „Pana Tadeusza”, jaka znalazła się w zbiorach Muzeum Literatury, mamy publikację nie znanego listu Adama Mickiewicza z 1831 r. — bardzo ważnego pod względem treści. W omawianym tomie znalazły się nad wyraz dyskusyjne — co się tyczy metody badawczej — dwie prace francuskiego autora Jean Charles Gille, jedna będąca studium psychologicznym twarzą Poety, druga studium grafologicznym jego pisma. Można nie dawać wiary morfopsychologii oraz grafologii — ale przeczytać te prace należy. Chyba dlatego, by przekonać się, czy coś z nich wynika, czy nie. Jest wreszcie w omawianym tomie praca Zbigniewa Sudolskiego o pro-

cesie twórczym powstawania „Psalmu nadziei” Zygmunta Krasińskiego jest niezwykle ciekawe studium Mariny Bersano-Begley o Włoszech i Polsce w okresie Risorgimento, przynoszące garść nowych materiałów dotyczących włoskiej kariery towiażizmu. Z kręgu mickiewiczowskiego mamy tu jeszcze niezmiernie wartościową publikację nie znanych listów Charles de Montalemberta do polskich adresatów. Kapitałny tekst zawdzięczamy Andrzejowi Biernackiemu: opracował on bowiem „Imiennik Narodowy” Edwarda Rastawieckiego, niezmiernie interesujący zstambuch, do którego wpisało się mnóstwo polskich znakomitości z ubiegłego stulecia.

Następna z kolei praca przenosi nas już w wiek XX: Barbara Bargielowska poddaje analizie zachowane w zbiorach Muzeum Literatury rysunki Brunona Schulza (jest ich w sumie 14) Wojciech Chmuryński poświęca swoje studium „Apoteozie Napoleona” pedzla Walentego Wańkowicza, obrazowi, który trafił do Muzeum Literatury wraz z dużym zespołem towarzyszących w 1974 r. Całość materiałów zawartych w „Blok-Notesie” zamyka szkic radzieckiej autorki Jeleny Muzy o rysunkach Puszkina, artykuły informacyjne o Moskiewskim Muzeum Puszkina oraz Holenderskim Muzeum Literatury, wspomnienia oraz kalendarium wystaw i imprez zorganizowanych w latach 1974—1976 przez Muzeum Literatury.

Nowe szczegóły, nie znane informacje... Czy to ważne w epoce, kiedy panuje moda na pisanie wielkich, szerokich syntez? Cóż, kiedy synteza bez nowego materiału, bez cwych tak nieraz pogardzanych detali: to zawsze twór kulawy, choćby nie wiem jak przemysłany pod względem metodologicznym. Trudno przecenić znaczenie dla naszej narodowej kultury ogłaszania dziełkiem coraz to nowych, choćby i bardzo szczegółowych informacji nie tylko o wielkich twórcach doby Romantyzmu. Bez tego nie ma postępu badań, choć polega on nie tylko na gromadzeniu nowych detali. I dlatego chwalmy sobie „Blok — Notes” Muzeum Literatury, przy całej jego osobliwej formie i nieco oretensjonalnym tytule: spełnia on nader ważną rolę kulturotwórczą, której nie można zaprzeczyć.

ANDRZEJ F. GRABSKI

DYSKUSJA

Świat nie istnieje bez historii. Teraźniejszość staje się w każdym swoim momencie dzięki przeszłości i stwarza podwaliny dla przyszłości. Dlatego niezbędna jest umiejętność historycznego myślenia, to znaczy takiego myślenia, które świat traktuje w rozwoju, w kategoriach zmian. Jest to umiejętność, która pozwala widzieć teraźniejszość jako wynik całego procesu dziejowego, a jednocześnie jako momentu w tym procesie, który nieustannie trwa, staje się, rozwija się. Historyczne myślenie jest składową, jest integralną częścią myślenia politycznego.

Materializm historyczny odrzuca automatyzm w procesie dziejowym. Stojąc na gruncie obiektywnych praw rozwoju społecznego wielką wagę przywiązuje do czynnika subiektywnego, do roli jaką ludzie odgrywają w historii, którzy poprzez swą działalność mogą przyspieszać lub hamować rozwój społeczeństwa. Marksistowska myśl społeczna wielką wagę przywiązuje do prognozowania przyszłości. Tak myślało też wielu lewicowych polityków, którzy zastanawiając się nad przeszłością musieli jednocześnie określić charakter przyszłej Polski, o jaką toczyła się walka. Polska nowoczesna myśl społeczna i polityczna kształtowała się bowiem w warunkach, kiedy nie było państwa i już choćby z tego powodu nie mogła ograniczać się tylko do analizy przeszłości i teraźniejszości, nie wybiegając jednocześnie w przyszłość.

Jak zatem widziano przyszłą Polskę? Jak polscy myśliciele w różnych okresach naszych najnowszych dziejów określali Polskę, o którą walczyli?

Do dyskusji nad tymi sprawami zaprosiliśmy historyków. Udział w niej wzięli: — profesor dr hab. Stefan BANASIAK, — docent dr hab. Alina BARSZCZEWSKA, — profesor dr hab. Andrzej F. GRABSKI. „ODGŁOSY” reprezentował Lucjusz WŁODKOWSKI.

A.F. GRABSKI: — Jeśli wychodzimy z założenia, że każda myśl polityczna zawiera jednocześnie diagnozę teraźniejszości i podbudowaną poglądem na przeszłość, a wszystko to ra-

mionym narodem Polakom był ten, który nie godził się z aktem rozbiorów. Każdy więc kto zastanawiał się nad ówczesną rzeczywistością, musiał postawić pytanie: dlaczego inne narody mają swoje państwa, a Polacy nie? Odpowiadając na to pytanie, musiano analizować przeszłość, szukać błędów, które doprowadziły do upadku państwa.

Przez ocenę przeszłości kształtowały się wizje przyszłości i to zarówno wśród myślicieli ówczesnej prawicy, jak i lewicy.

NASZA GENEALOGIA

zem służy wizji przyszłości, a jest to przecież założenie prawdziwe, to wszelka polska, myśl polityczna końca XVIII i przez cały XIX wiek aż do początków XX wieku musiała nieuchronnie być skierowana ku przyszłości.

A. BARSZCZEWSKA: — Elementem podstawowym wszelkich programów organizacji spiskowych i ugrupowań politycznych tego okresu była wizja przyszłej Polski.

A.F. GRABSKI: — A było tak dlatego, jak to już zauważył Stefan Kieniewicz, uświado-

„ODGŁOSY”: — Były też poglądy postulujące niejako powrót do czasów sprzed rozbiorów.

A.F. GRABSKI: — Ale był to margines. W zdecydowanej jednak większości źródła upadku Polski widziano w wadliwej strukturze społecznej. Tam, gdzie widziano przyczynę upadku Polski w egoistycznym postępowaniu szlachty, eliminowano szlachtę z grona tych, którzy mo-

Dalszy ciąg na str. 8-9

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMKOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracownicy: JAN BABINSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁĄŻEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, JACEK SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

W Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto stałą Galerię Budowniczych Polski Ludowej. Obrazy do tej galerii namalował ZDZISŁAW GŁOWACKI.

Czytelnikom „Odgłosów” prezentujemy reprodukcje z tej wystawy oraz informacje o ludziach odznaczonych Orderami Budowniczych Polski Ludowej.



**WANDA
GOŚCIMIŃSKA**

Urodziła się w Łodzi, w 1914 roku w rodzinie robotniczej. Jako 18-letnia dziewczyna rozpoczęła pracę jako przadka w rzemieślniczej fabryce A. Horaka.

Po wyzwoleniu natychmiast zgłosiła się do tej samej fabryki i wkrótce stała się jedną z przodujących pracownic. W 1948 r., w odpowiedzi na apel górników, pierwsza przystąpiła do współzawodnictwa wielowarstwowego, dając tym samym początek współzawodnictwu indywidualnemu i zespołowemu w branży włókienniczej.

W 1950 r. została skierowana na kurs administracji przemysłowej, a w trzy lata później była już dyrektorem zakładów. Uczyła się nadal Ukończyła technikum włókiennicze. Od 1963 r. do przejścia na emeryturę (1974 r.) kierowała Przedsiębiorstwem Bawełny im. gen. Waltera.

Swoją pracę zawodową zawsze łączyła z nauką i działalnością społeczno-polityczną. Członkini partii od 1946 r. Posłanka na Sejm. Działaczka KD PZPR Łódź-Górna (aktualnie członek Egzekutywy KZ PZPR).

Posiada wiele odznaczeń i wyróżnień za swoją pracę zawodową i działalność społeczną. Order Budowniczych Polski Ludowej otrzymała w lipcu 1949 r., jako pierwsza kobieta w kraju.



**STEFAN
NOWAK**

Urodził się w 1908 r. w Zapolu koło Sieradza w rodzinie chłopskiej. Od roku 1928 pracuje jako tkacz w łódzkich fabrykach włókna. W latach 1930-1931 uczył się w Wieczorowej Szkole Włókienniczej.

Po wyzwoleniu podejmuje pracę w ZPB im. Stanisława Dubois. Wykazuje nieprzeciętne zdolności organizacyjne, co przyczynia się do szybkiego awansu: najpierw zostaje kierownikiem tkalni, a wkrótce dyrektorem w Zakładach im. Władysława Bytomskiej, następnie dyrektorem w ZPB im. Juliana Marchlewskiego, a kolejno dyrektorem w ZPW im. Wiosny Ludów.

Działalność zawodową zawsze łączył z pracą społeczno-polityczną. Do partii wstąpił w 1945 r. Był członkiem Plenum KD PZPR Łódź-Bałuty oraz Plenum KD PZPR Łódź-Polesie, następnie członkiem Komitetu Łódzkiego partii i Komisji Rewizyjnej. Od 1953 r. pełnił funkcję radnego Rady Narodowej m. Łodzi.

Stefan Nowak zmarł w 1975 r.

Za osiągnięcia na polu zawodowym, za aktywność i zaangażowanie w pracę społeczno-polityczną otrzymał wiele odznaczeń państwowych, a w 1959 r. został uhonorowany Orderem Budowniczych Polski Ludowej.



**MICHALINA
TATARKÓWNA-MAJKOWSKA**

Urodziła się w 1908 r. w Łodzi w rodzinie robotniczej. Jako dziecko należała do Czerwonego Harcerstwa. Pracę zawodową rozpoczęła jako przadka w Włocławskiej Manufakturze. Należała do KZM. W 1934 r. wstąpiła do KPP. Była także delegatem Klasowych Związków Zawodowych.

Po wyzwoleniu, jako członek PPR, skierowana została do pracy w aparacie partyjnym: początkowo jest I sekretarzem KD PPR na Widzewie, potem w dzielnicy Łódź-Sródmieście, na koniec zostaje sekretarzem organizacyjnym KW PZPR. Studiowała w Centralnej Szkole Partyjnej w Warszawie, po jej ukończeniu obejmuje funkcję I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, a od 1955 r. Komitetu Łódzkiego partii. W latach 1953-1968 była członkiem KC PZPR. Przez cztery kadencje reprezentowała nasze miasto jako posłanka na Sejm.

W 1965 r. po wielu latach wyłączonej z odpowiedzialnej pracy przeszła na emeryturę.

Za wkład w rozwój naszego miasta, za oddanie sprawom ludzi pracy, była wielokrotnie odznaczana i wyróżniana. Oceniając wybitne zasługi na polu pracy społeczno-politycznej Rada Państwa PRL nadała jej w 1960 r. Order Budowniczych Polski Ludowej.



**HENRYKA
WĘGRZYN**

Urodziła się w 1909 r. w Łodzi. Pracę zawodową rozpoczęła w 1930 roku dając poznać się jednocześnie jako działaczka oświatowa. W czasie okupacji bierze aktywny udział w tajnym nauczaniu.

Po wyzwoleniu podejmuje pracę w szkolnictwie: kieruje Szkołą Podstawową nr 139 na Stokach. Jako członek PPR i następnie PZPR działa bardzo aktywnie w upowszechnianiu oświaty i kultury. Szczególną jej zasługą było powołanie i organizacja pierwszego w Łodzi uniwersytetu pedagogicznego dla rodziców, który skupił wokół siebie poważną grupę aktywistów społecznych.

W swojej pracy pedagogicznej była gorącym rzecznikiem świeckości szkolnictwa.

W latach 1960-1962 była członkiem Egzekutywy KD PZPR Łódź-Widzew, następnie członkiem plenum. Jednocześnie, przez wiele lat, przewodziła Komisji Oświaty Komitetu Dzielnicznego na Widzewie.

Za wyniki osiągnięte w pracy zawodowej i społecznej udekorowana została wieloma odznaczeniami państwowymi i resortowymi.

W 1964 r. otrzymała Order Budowniczych Polski Ludowej.



**MARIAN
MORAWSKI**

Urodził się w 1920 r. w Gołtaczach koło Łęczycy w rodzinie robotniczej. Mając 14 lat rozpoczął pracę jako robotnik rolny.

Po wyzwoleniu podjął pracę w ZPB im. Juliana Marchlewskiego: początkowo jako robotnik, następnie został majstrem, w końcu awansował na kierownika oddziału przędzalni. Na każdym z tych stanowisk wykazywał się sumiennością, znajomością produkcji, dobrą organizacją pracy. Od początku też należał do aktywnych działaczy społeczno-politycznych.

Pracując zawodowo aktywnie uczestniczył w pracy politycznej. W 1950 r. wstąpił w szeregi PZPR. Wkrótce został członkiem Plenum KD PZPR Łódź-Bałuty, a w 1954 r. został członkiem Plenum Komitetu Łódzkiego partii. Jednocześnie pozostawał aktywnym członkiem Centralnej Rady Związków Zawodowych.

W 1971 r. przeszedł na emeryturę.

Za wyniki osiągnięte w pracy zawodowej oraz za działalność polityczną został uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi, m.in. Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

W 1969 r. Rada Państwa przyznała mu najwyższe odznaczenie — Order Budowniczych Polski Ludowej.



**STANISŁAWA
SWIDERSKA**

Urodziła się w 1920 r. w Łodzi w rodzinie robotniczej. Do Włocławskiej Manufaktury trafiła jako 16-letnia dziewczyna.

Po wyzwoleniu, jako jedna z pierwszych, przystąpiła do odbudowy zniszczonych zakładów. Była jedną z inicjatorek ruchu socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Wkrótce powierzono jej obowiązki instruktorki nauki zawodu. Wiele spośród pracujących dziś przadek — przodownic są jej uczennicami.

Zawsze czynnie uczestniczyła w życiu swojego zakładu pracy, toteż powierzono jej funkcję członka Prezydium Rady Robotniczej, a także członka egzekutywy Komitetu Zakładowego oraz Plenum KD PZPR Łódź-Widzew. W 1971 r. została członkiem egzekutywy KŁ PZPR. Na V Zjeździe partii znalazła się w gronie kobiet reprezentujących łódzkie włókienniki. W 1980 roku została wybrana radną Rady Narodowej m. Łodzi, a w 1989 r. została posłanką na Sejm.

Za ogromne zaangażowanie w pracę własnego zakładu, za swoją działalność społeczno-polityczną, przadka w WZPB i Maja Stanisława Swiderska została uhonorowana przez Radę Państwa PRL najwyższym odznaczeniem — Orderem Budowniczych Polski Ludowej.



**LUDWIK
SPRUCH**

Urodził się w 1893 roku w Łaznowie koło Brzezina w rodzinie chłopskiej. Ciężkie warunki w domu zmusiły go do szukania pracy w pobliskiej Łodzi. Początkowo pracuje w fabryce kafi, potem przenosi się na kolej. W 1908 r. wstępuje do SDKPiL.

W czasie I wojny światowej zostaje wcielony do armii rosyjskiej i walczy na froncie. Wstępuje do SDPRR, a w 1917 r. uczestniczy w Rewolucji Październikowej. Do Łodzi wraca w 1918 r.

Pracuje na kolei, działa w Klasowych Związkach Zawodowych, zostaje członkiem KPP, jest organizatorem strajków w latach 1919, 1921, 1923.

W latach okupacji działa w PPR i GL, a w jego mieszkaniu odbywają się zebrania aktywów partii.

Po wyzwoleniu nadal pracuje na stacji Łódź-Kaliska jako magazynier. W 1952 r. przeszedł na emeryturę. Do dzisiaj jest czynnym członkiem Komitetu Łódzkiego partii.

Za swoją działalność zawodową i polityczną posiada wiele odznaczeń radzieckich i polskich.

W 1971 r. Rada Państwa przyznała mu Order Budowniczych Polski Ludowej.



**GENOWEFA
RUSZKOWSKA**

Urodziła się w 1920 r. w Świątkach koło Łasku w rodzinie robotniczej. Pracę w Łodzi podjęła w 1937 r. w małej tkalni przy ul. Targowej.

Zaraz po wyzwoleniu aktywnie uczestniczyła w odbudowie przemysłu włókienniczego. Początkowo pracowała jako robotnica, później została majstrem, następnie kierownikiem oddziału przygotowawczego wykazując wiele inicjatyw w rozwijaniu produkcji i wydajności pracy. Na tym stanowisku pracowała do 1975 r., do chwili przejścia na emeryturę.

Całe swoje życie związała z partią. Od 1945 r. była aktywną działaczką PPR, a potem PZPR. Jako agitatorka brała czynny udział w przeprowadzaniu referendum ludowego w 1946 r. W latach 1950-1966 była II sekretarzem, a następnie członkiem egzekutywy Komitetu Zakładowego partii. Była także członkiem KD PZPR Łódź-Górna, aktywnie działała w Lidze Kobiet.

Genowefa Ruszkowska zmarła w 1979 r.

Za swoją działalność zawodową, społeczną i polityczną wyróżniona została wieloma odznaczeniami państwowymi, a w 1974 r. Rada Państwa nadała jej Order Budowniczych Polski Ludowej.



**CZESŁAW
ZAPART**

Urodził się w 1918 r. w Zgierzku w rodzinie robotniczej. Będąc 16-letnim chłopcem podjął pracę w zgierskich zakładach „Boruta”, z którymi jest związany do dziś.

Po wyzwoleniu, jako członek Straży Ochrony Zakładu aktywnie uczestniczył w ich odbudowywaniu i uruchamianiu. Powołany do odbycia służby wojskowej bierze czynny udział w utrwalaniu władzy ludowej: uczestniczy w przeprowadzaniu reformy rolnej, w referendum czerwcowym, a także walczy z bandami reakcyjnego podziemia w powiatach kolskim, tureckim i konińskim.

Od 1947 r. ponownie pracuje w „Borucie”. Początkowo jest robotnikiem, potem zostaje mistrzem, następnie kierownikiem wydziału produkcyjnego.

Do partii wstąpił w 1945 r. Pełnił wiele funkcji partyjnych: był członkiem Plenum i Egzekutywy Komitetu Zakładowego partii oraz członkiem KM PZPR w Zgierzku. Poseł na Sejm. Działacz Rady Narodowej m. Zgierza.

Za zasługi położone dla rozwoju własnego zakładu, za czynny udział w utrwalaniu władzy ludowej w Polsce, za aktywność w życiu społecznym i politycznym został uhonorowany w 1974 r. przez Radę Państwa najwyższym odznaczeniem — Orderem Budowniczych Polski Ludowej.



**ROMUALD
CEBERTOWICZ**

Profesor Romuald Cebertowicz urodził się w 1897 roku w Brzusku koło Głowna. Studiował w Moskwie i Warszawie. Był uczestnikiem Rewolucji Październikowej i uczestnikiem kampanii wrześniowej 1939 roku. Służył w artylerii w stopniu porucznika. Po klęsce wrześniowej przedostał się do Francji, gdzie walczył dalej. Był internowany w Szwajcarii. W 1942 roku obronił pracę doktorską w Zurychu.

Po wyzwoleniu Francji przez wojska alianckie przedostał się do Anglii. Do Polski powrócił w 1946 roku. Osiedlił w Gdańsku, gdzie na Politechnice Gdańskiej utworzył Instytut Wodny. W 1950 roku otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. W dwa lata później tytuł profesora zwyczajnego.

Jest twórcą metody zeskalanania gruntu. Metoda ta przyniosła mu światową sławę. Brał udział w wielu krajach w ratowaniu gruntów pod zabytkami i przy różnych wielkich budowach. Metodę tę nazwano cebertyzacją. W 1949 roku za tę metodę otrzymał Nagrodę Państwową I stopnia.

Jest członkiem PAN. Członek PZPR.

Od 1967 roku jest na emeryturze. W 1972 roku został odznaczony Orderem Budowniczych Polski Ludowej.

„POLANIL” leży w samym sercu Dąbrowy przemysłowej, przy głównym trakcie, który wyznacza oś ulicy Dąbrowskiego. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych stały tu małe, pochylone domki podmiejskiego rejonu, odciętego od zamieszkałych gęsto dzielnic torami kolei obwodowej ze szlabanem na korbkę. Przewadziła tędy nielubiana i rzadko wybierana przez kierowców droga na Tomaszów Mazowiecki, przede wszystkim jednak trakt ten łączył okoliczne wioski.

„Polanil”, przedziałnia czesankowa anilany, wznosił się w tę sielskość przysiadłystym korpusem fabrycznej hali i zgrabnym, strzelistym budynkiem biurowca. Budowę rozpoczęto w kwietniu 1971, ale już po niecałych trzech latach było na co popatrzyć, tym bardziej że wraz z kotłownią, która dostarcza pary technologicznej dla innych zakładów Dąbrowy, cacko to miało wartość miliarda złotych zainwestowanego w mur i urządzenia. A ten park maszynowy też nie miał równego sobie w Polsce. W równo ustawionych rzędach czekały na pracowników agregaty niemieckie firmy Fleissner do ciągłego barwienia, także erefenowskie konwertery do Seydela, francuskie parowniki „Clomatic” i schlumbergerowskie rozciągarki z Francji, wsparte o także francuskie rozciągarki jeżakowe firmy SACM. Te rewie techniczną uzupełniały automatyczne przewijarki włoskiej firmy Savio i motaki Zerbo także włoskiej produkcji łącznie z aparatami

przechowywane są najcenniejsze trofea, znajduje się metalowy ostrosłup poświęcający do wyróżnienia oraz tytuł: Zakład Dobrej Roboty, którym odtań może posługiwać się „Polanil”.

W sali konferencyjnej, na ścianie „wytapetowanej” dyplomami, odnajdujemy ten najważniejszy; przyznany go wspólnie Polski Komitet Normalizacji i Miar, Urząd Gospodarki Materiałowej, CRZZ, NOT, TV i „Trybuna Ludu” za „osiągnięcie przodujących wyników społeczno-gospodarczych w realizacji programu doskonalenia organizacji i jakości pracy”.

„Ale mnie ciekawi sukces od środka, recepta na powodzenie. Kiedy to mówię, uśmiechają się tylko, bo dyplomy i listy pochwalne wyręczają ich w tłumaczeniu.”

Przekonałem się potem, że podobne dyplomy wiszą na oddziałach produkcyjnych, a oglądane są przez wszystkich, bo cały zakład zatrudniający ponad 1300 osób to właściwie jedna wielka hala podzielona tylko na sektory.

Dyrektor Zadrozny mówi: — To się zaczęło hobbistycznie. Skrzyknęła się grupa ludzi, którzy zgłosili się do konkursu i ogłosili jednocześnie, że zadowolą nas tylko i miejsce.

Zaczęli od stworzenia bazy psychologicznej, aby przy poparciu Zjednoczenia Wzmiarskiego, przy osobistym zaangażowaniu dyrektora Zdzisława Zorskiego i jego asystenta Mieczysława Sowińskiego, przedsięwzięć bardziej konkretne posunęli. Aby wyeliminować błędy w produkcji,



pełnią błędy, bo ta wiedza pozwala się ich ustrzec.

I to był najważniejszy krok. Zawiązywały się bowiem „koła jakości” i „oddziałowe zespoły jakości”, które tępiły w zarodku każdą fuzerkę. Jednocześnie rozwinięte także ruch racjonalizatorski, który miał niemały wpływ na wyniki produkcyjne i ekonomiczne „Polanilu”.

Inżynier Jerzy Pieczora, przewodniczący Zakładowego Klubu Techniki i Racjonalizacji trafił do „Polanilu” bezpośrednio po studiach jes-

przychodził „różny element”, a piątą część z nich nie pracowała dotąd w przemyśle włókienniczym.

A sytuację komplikowało jeszcze to, że w starych zakładach jest akord indywidualny. W warunkach „Polanilu” najlepiej sprawdza się akord zbiorowy, ale on wymaga od pracownika wyższych umiejętności i wyższej świadomości.

— Zdarzały się sytuacje, że kobiety nie chciały pracować z określonymi robotnikami, bo tamte miały gorsze wyniki — wspomina Pieczora. — Po roku zespoły się dotarły. Na niektórych typach maszyn zaprowadziliśmy taką organizację pracy, jaką zaproponowali Włosi, bo oni znają je najlepiej.

I natychmiast między zespołami zaczęła się ostra konkurencja. Nie tylko o to, kto lepszy. W cenie była także pomysłowość, bo dostawcy włoscy dawali bardzo małe części zamiennych i nie wystarczają one do utrzymania ciągłości produkcji. Część z importu zaczęli więc zastępować detalami własnej konstrukcji, co sprzyjało rozwojowi ruchu racjonalizatorskiego.

— Jeden projekt racjonalizatorski przypada na 11 pracowników — wyrzuca z pamięci Pieczora.

Jest się czym pochwalić i nie dziwnego, że młody inżynier pewnie liczbę pamięta nie zaglądając do kartki.

W tym procesie racjonalizacji biorą dziś udział także kobiety, stanowiące tradycyjnie większość zatrudnionych w przemyśle lekkim, choć z początku trzeba je było zachęcać do pomysłowości. Zaczęło się od odczytów na temat prawa wynalazczego. Zorganizowano także, pierwszą w Polsce, giełdę pomysłów racjonalizatorskich kobiet. Z początku trudno to szło.

— Chodziliśmy — uśmiecha się Pieczora — do kobiet, pytałśmy, co im przeszkadza w pracy, pomagaliśmy wypełniać arkusze wniosków,

kiedy montowano pierwsze maszyny — mówi.

Typowy robotniczy życiorys. Pracę zaczęła w wieku szesnastu lat jako hafciarka. Była wojna. Po wyzwoleniu trafiła do przemysłu, została przewijaczką. Przez te lata ani razu nie dostała nagany, ani nawet upomnienia. Dużo pracowała społecznie: w Lidze Kobiet, w związkach zawodowych, obecnie jest członkiem plenium KZ.

— Lubię pracę i mam z niej zadowolenie — uśmiecha się pani Helena, matka dzieciom. Dwóch synów pracuje w przemyśle meblowym, córka też na swoim, jest pracownikiem umysłowym. — Każde niepowodzenie zakładu to boli mnie osobiście, taka się urodziłam. I powiem panu jeszcze, że u nas w zakładzie jest tak samo jak w każdym domu: wszyscy się cieszą, kiedy przybywa coś nowego.

Podobne podejście ma Wanda Dobrowolska, która pracuje w przedziałni i także przyszła tutaj „od Świerka”. Ciekawi mnie jak sukces zakładu załamuje się w świadomości robotnika, a pani Wanda prosto z mostu:

— Wszyscy byli zadowoleni i dumni, że osiągnęliśmy takie wyniki. Były premie pieniężne z tego tytułu. I zaraz dodała:

— Uważam, że ludzie dużo pracują i chętnie. Na to się składają warunki pracy, bo w zakładzie jest pięknie. I jak są kolektywne, to jedni pociągają drugich. W akordzie ze-



KONRAD FREIDLICH

ANATOMIA SUKCESU

wieszkowymi firmy Bellini. Polskie były tylko przedzarki obrączkowe PH-1 i przedzarki PH-2 z Wifamy. Ale nad całością produkcji czuwały elektroniczne urządzenia słynnej firmy „Olivetti”.

„Polanil” wystartował nie najlepiej, od zgrzytów i nieporozumień, bo załoga była nowa, nieokrzesła, ludzie nie znali się wzajemnie i nie mieli do siebie zaufania. Starsi pracownicy przyszli wprawdzie z likwidowanych ZPW im. Karola Świerczewskiego, gdzie obiecywano im złote góry na cudzy rachunek, ale na miejscu, w „Polanilu” okazało się, że nie będzie tak lekko, zakład trzeba było dopiero wdrożyć do produkcji. Sekretarz Komitetu Zakładowego JAN SONDA niechętnie wspomina tamte początki:

— Aż się wierzyć dzisiaj nie chce, że u niektórych było tyle wrogości. Kręci głową, jakby się dziwił, że to się musiało zdarzyć właśnie tutaj, w „Polanilu”.

W ciągu pięciu lat przyjęto do pracy 3.136 osób, odeszło 1.719 — można więc rzec, że wymieniła się cała załoga. Ale jednocześnie te dane dowodzą zawodności statystyki, w rzeczywistości bowiem na tę ruchliwość składa się dość wąska grupa młodych ludzi, którzy ze zmiany pracodawcy zrobili sobie zawód i niechętnie prosperują.

Jan Sonda wyciągnięty na wspominki stwierdza, że w pierwszych tygodniach rozruchu zakładu były kłopoty z dojazdami do pracy. Teraz też nie jest dobrze.

— Najbardziej bolesny problem zakładu to komunikacja. Robiliśmy spotkania z dyrekcją MPK, interweniowała Instancja partyjna — stwierdza Sonda. — Najgorzej jest na wieczornej zmianie.

Inni potwierdzają spostrzeżenia sekretarza, chociaż nie przyszedłem tu, aby zbierać żale. Interesuje mnie mechanizm sukcesu. Jak to się stało, że zakład startujący nie najlepiej, przechodzący od samego początku poważne perturbacje otrzymał nagrodę I stopnia w IV Konkursie DO-RO wysuwając się na czoło w całym przemyśle lekkim, a i w V właśnie trwającym, konkursie, nie jest pozbawiony szans na zajęcie najwyższej lokaty? W gabinecie dyrektora Zbigniewa Zadrozny, gdzie

trzeba je było przede wszystkim poznać. I okazało się, że trzeba przede wszystkim lepiej przeszkolić pracowników, bo tego wymagała technologia. Dlatego uruchomiono Gabinet Jakości Pracy, przez który przeszli wszyscy pracownicy. Wielu nie miało zresztą pojęcia jak efekty ich pracy rzutują na produkt finalny, w którym uwidaczniały się wszystkie błędy popełnione na wcześniejszych etapach. Nawet osoby od dawna pracujące w przemyśle nie orientowały się zbyt dobrze, jakie jest ich miejsce w procesie technologicznym.

Na oddziałach produkcyjnych także powstały jakości jakości. Samozrozumie, aby ludzie wiedzieli, jakie po-

cze w czasach pionierskich, kiedy bito dopiero studnię. W dwa lata później przeszedł z budowy bezpośrednio na oddział produkcyjny zgodnie zresztą ze swym wykształceniem, uzyskał bowiem magisterium na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej. Był wtedy dwudziestym pierwszym z kolei pracownikiem.

Może 21 to szczęśliwa liczba, a może tym, co mają rzetelną wiedzę, bardziej szczeni się w życiu niż niedoukom: inżynier Pieczora jest zadowolony z drogi, którą obrał. Jak ocenia te minione lata?

— Najważniejszy był dobór ludzi — tłumaczy — bo do zakładów

bo niektóre nawet tego nie potrafiły zrobić.

Od tamtej pory sytuacja zmieniła się. Zakładowa mistrzyni racjonalizacji w roku 1976 dała nawet „Polanilowi” milion złotych efektu swymi usprawnieniami, a to już się liczy. W dwa lata później na 131 projektów racjonalizatorskich kobiety zgłosiły 65, a więc niemal dokładnie połowę. Te „babskie” projekty przyniosły zakładowi ok. 9 mln zł efektów.

Rozmawiałem potem z Heleną Kudłą, która pracuje w „Polanilu” od 1973 r. skierowana do pracy z ZPW im. Świerczewskiego.

— Przyszedł tu od „Świerka”,

spółowym lepszym wywierają wpływ na gorszy.

Kiedy ogłoszono V Konkurs Dobrej Roboty, który właśnie trwa, nikogo w zakładzie nie trzeba było namawiać do podjęcia pałeczki współzawodnictwa. Jak wcześniej, w IV konkursie interesuje ich tylko I miejsce. I zakwalifikowali się do puli finałowej, ogólnopolskiej, gdzie będą decydowały różne czynniki, ale przede wszystkim osiągnięte efekty. Trzeba więc dalej podnosić kwalifikacje pracowników, lepiej wykorzystywać maszyny, oszczędniej gospodarować surowcami, a przede wszystkim jeszcze bardziej zainteresować pracowników efektami zakładu.

Zakład ma dobrą pozycję wyjściową. Mogą dziś produkować wyroby o wysokich standardach, zrodziła się ambicja zdobywania na te wyroby znaków jakości.

— Można powiedzieć — stwierdził dyrektor Zadrozny — że bariera jakościowa została pokonana z marszu.

Rzecz teraz w tym, aby nie zwalnając tego marszu przekroczyć wyżej podniesione poprzeczki.

Od 1.08. 1979 r. wejdzie w życie ustawa o jakości produkcji. Z tej okazji odbyło się specjalne zebranie POP. Rozmawiano z ludźmi i przyjęto zasadę, że ocena produkcji będzie się opierać nie tylko na obojętności normie, ale będzie dostosowywana do wyższych od tej normy wymagań odbiorcy. Wszędzie bowiem, gdzie się coś robi, można to zrobić lepiej. Zawsze jest coś do rozważania, w co warto angażować umysł i wysiłek. W „Polanilu” rozumiano to już dawno.

Złotliwi powiadają, że plastyczny akcent przed zakładem, kamienna bryła na sześciennym postumencie przedstawia zwoje ślimaka, symbolu lenistwa i opieszałości. Ci, którzy odwiedzili „Polanil” mają pewność, że kamienna bryła na postumencie symbolizuje motek przędzy najwyższej jakości.

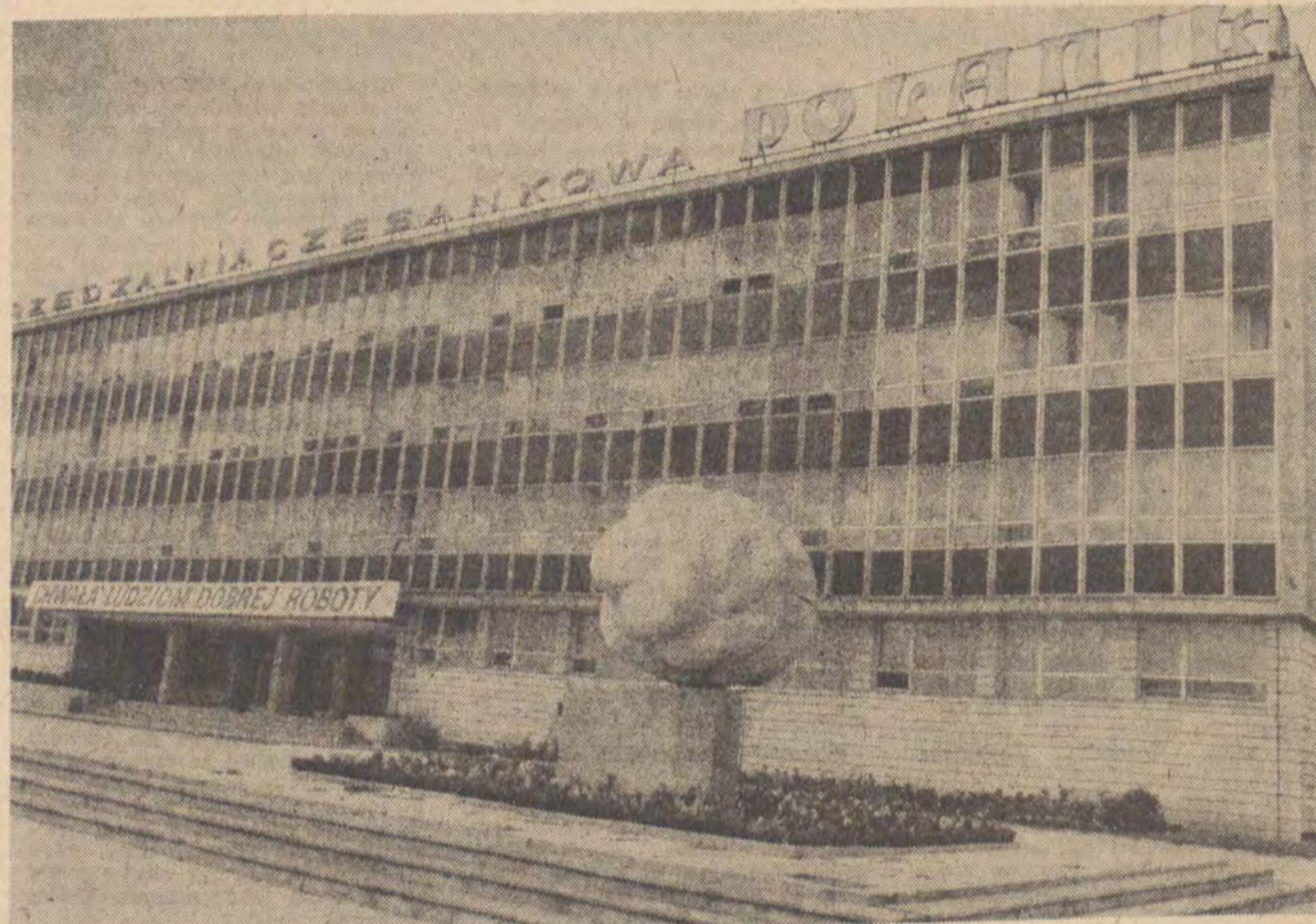


Foto: R. Lucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

Nowa Huta zrosła się urbanistycznie z Krakowem. Nowa Huta to już naprawdę Kraków: ogromne zaiste miasto o różnych obliczach.

— Co to za plac? — pytam.

— Centralny.

— Już?

Kiedyś czwórka wlokła się z Bronowic ponad godzinę. Teraz patrzę na zegarek: trzydzieści minut. Miał rację milicjant, taksówkarz i inni informatorzy. Tylko tramwaj! I kosztuje, jak kiedyś, zaledwie złotówkę.

Wysiadam i zaczynam włożyć się ulicami.

Są miejsca, które poznaję, ale są i takie, których dawniej tu nie było — nowe skwery, nowe osiedla, obiekty sportowe, ogródki jordanowskie, szkoły, przychodnie, restauracje, kawiarnie...

W barze mlecznym „Przodownik” jem kolację — smaczniejszą doprawdy niż w lokalach orbisowskich — jajecznicę z dwóch jajek, skwiercząca, podana na patelni, chrupka bułka z masłem, duża kawa z mlekiem i herbata. Ustom nie wierzę. Mam zapłacić za to wszystko piętnaście złotych.

Uczciwe, proletariackie ceny. Ludzie uprzejmi. Wszędzie ładnie i czysto. Nie zdeprawowała się ta Nowa Huta w ciągu trzydziestu lat.

2.

Nazajutrz, 10 lipca w godzinach porannych, stawiam się w sekretariacie dyrektora naczelnego kombinatu.

Przedstawiam się i mówię:

— W piątek redakcja wysłała w mojej sprawie list.

Mila pani otwiera księgę korespondencji i zaczyna szukać — raz, drugi i trzeci. List nie doszedł.

— U nas — tłumaczę — w Łodzi, ustawiono przed pocztą główną na ul. Kościuszki szereg skrzynek pocztowych z nazwami kilku wielkich miast jak WARSZAWA, WROCŁAW, KRAKÓW, zapewniając, iż korespondencja wrzucona do każdej z owych skrzynek trafi następnego dnia do adresata. Aby potwierdzić to zapewnienie, wszedłem przed wrzuceniem listu na pocztę i spyta-

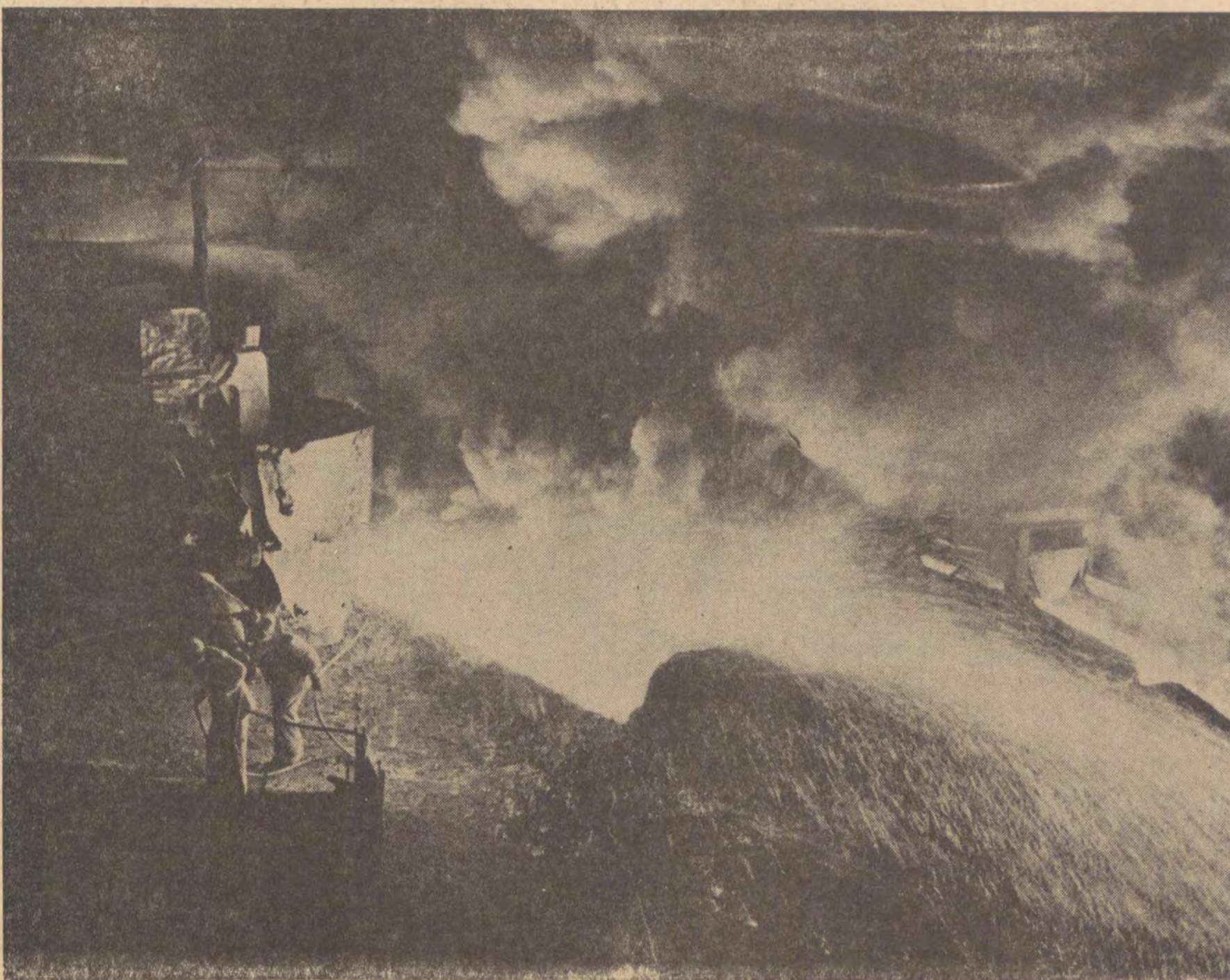


Foto: Archiwum

CIĄGLE NAJWIĘKSZA

tem w okienku, czy można na tych obietnicach polegać. Odpowiedziano: tak. Z całą pewnością list będzie jutro w Nowej Hucie. Ja na to: już nie chodzi o to, żeby był jutro, w sobotę. Wystarczy, jeśli przyjedzie w poniedziałek. Pani na to: może pan być zupełnie spokojny. No i oto jest wtorek, a listu nie ma.

— Niech pan nie wierzy pocście — poucza mnie sekretarka. — Nam tu, w Krakowie, pocztą też nierzadko sprawia psikusy.

Tak czy siak, za sprawą pocztę nie rozmawiam z dyrektorem naczelnym. Poprzez telefon, udaję się do gabinetu zastępcy dyrektora ekonomicznego Kombinatu, mgr Józefa Barana. Sam dyrektor, Stanisław Suchoński, przewodniczący Komitetu Obchodów 30-lecia Nowej Huty i Krakowskiego Obywatelskiego Komitetu Obchodów Święta 22 Lipca, jest na krótkim urlopie.

Konfrontuję kilka danych sprzed lat.

W 1969 roku dzielnica liczyła 150 tysięcy mieszkańców, dzisiaj liczy 220.

Wtedy Huta zatrudniała 30 tysięcy ludzi, teraz 39, przy czym mówimy tylko o tych, którzy bezpośrednio pracują w Kombinacie, pomijając kooperantów i budowlanych.

— Pan mieszka w tej dzielnicy? — pytam.

— Nie — odpowiada mgr Baran — ja mieszkam w Starym Krakowie. Notuję w pamięci ten szczegół. Gdyby powiedział w Krakowie, znaczyłoby to, że w głębi duszy uważa, iż dojeżdża do pracy z innego miasta. „Stary Kraków” oznacza, iż dojeżdża tylko z innej dzielnicy.

— Wypełnią się przestrzeń między dzielnicami.

— Tak. I wypełni się jeszcze bardziej, kiedy zabuduje się teren byłego lotniska, co jest już tylko kwestią najbliższych lat.

Poznaję doktora Władysława Winiarskiego, kierownika Działu Badań Ekonomicznych Kombinatu. On z kolei musi jeździć często z Nowej Huty do Starego Krakowa.

Ale zaczęło się inaczej. Ciekawy życiorys.

— Jestem tu od samego początku i to ze świadomego wyboru. Jak tylko ukończyłem Akademię Ekonomiczną w Krakowie (która wówczas nazywała się Inacej), przeprowadziłem się do Nowej Huty, która wówczas była przecież dużo mniej atrakcyjnym miejscem niż Stary Kraków, a zrobiłem to dlatego, żeby jak najszybciej wejść w sprawę, żeby utożsamiać się całkowicie z powstającym dopiero zakładem i napisać o nim pracę doktorską.

Pracowałem tu na wielu różnych stanowiskach — początkowo jako szeregowy urzędnik, później jako inspektor, wreszcie jako kierownik działu. Był przekonany, iż spędzi tutaj zaledwie kilka lat, spędził bez mała trzydzieści.

W 1961 roku obronił doktorat pod tytułem: „ORGANIZACYJNE PRZYGOTOWANIE KOMBINATU HUTNICZEGO DO EKSPLOATACJI”. Był już wówczas wybitnym specjalistą w swej dziedzinie, człowiekiem, który znał na pamięć wszystkie tajniki zakładu i branży, i według opinii wielu pracowników Huty, do dzisiaj jest tym, który najlepiej zna w detalach mechanizmy działania każdego wydziału.

Jego wiedza zasługiwała na uznanie i spotkała się z uznaniem. Przez pięć lat (1963—68) przebywał w Moskwie jako ekspert Sekretariatu RWP. Potem, wiernie, znowu powrócił do pracy w Nowohuckim Kombinacie, z którym, jak powiada, na zawsze już chyba związał swój los.

W dalszym ciągu kieruje Działem Badań Ekonomicznych, jest także adiunktem uczelni, którą przed laty ukończył: Akademii Ekonomicznej w Krakowie, gdzie prowadzi Zakład Ekonomiki Organizacji Hutnictwa.

— Tak, że na odwrót — mówię. — Mieszka pan na stałe w Nowej Hucie i często dojeżdża do Starego Krakowa.

— Owszem. Ale to już żaden problem. Kilkanaście minut jazdy.

3.

Wróćmy do starych konfrontacji.

W 1968 roku wartość produkcji towarowej Kombinatu wynosiła 18 miliardów złotych.

W 1979 roku, według realnych planów, wartość ta wyniesie bez mała 39 miliardów.

Liczyby te mówią same za siebie. Z ciekawością jednak wysłuchałem, wreszcie, obiektywnej opinii eksperta na temat Huty im. Lenina w odniesieniu do całego polskiego hutnictwa (z uwzględnieniem Huty Katowice) i w kontekście hutnictwa światowego.

Nowoczesne huty muszą być duże, bo tylko takie mogą produkować ekonomicznie, tanio. Najbardziej opłacalne są huty-kolosey, produkujące 15—20 milionów ton stali rocznie, ale takie mają raczej bytu tylko w tak wielkich krajach jak ZSRR i USA; w państwach mniejszych jak Polska, wielkość Huty powinna być uzależniona od ogólnego potencjału gospodarczego kraju. Optymalna produkcja Nowej Huty powinna kształtować się w granicach 8—12 milionów ton.

— Jesteśmy tego blisko — konkluduje doktor Winiarski. — Produkcję obecnie blisko 7 milionów ton, a perspektywy są na 8—10 milionów. Podobne wartości osiągnie niedługo Huta Katowice.

— A potem?

— Potem nas przeskoczy.

— Nie będziecie więc największym zakładem przemysłowym w kraju.

— Nie będziemy — powiada Winiarski, a w jego głosie nie ma cienia żalu czy urażonej ambicji. — Nasz Huta spełniła i ciągle jeszcze spełniać będzie wielkie zadania.

Przez dwadzieścia kilka lat na nas spoczywał ciężar zaopatrywania kraju w stal, my wykonaliśmy ponad 50 proc. całej polskiej produkcji. Ale... z chwilą wybudowania tak wielkiej i kosztownej inwestycji jak Huta Katowice, nowoczesniejszej, stwarzającej kolosalne perspektywy rozwoju — rozumiemy doskonale, że właśnie ona ma obecnie priorytet, że jej pracownikom należało się największe udogodnienia, że ona stanie się po nas władcą zakładem hutniczym.

Podoba mi się ton. Zadnego szowinizmu. Spojrzenie na sprawę z pozycji ogólnopolskich a nie lokalnych. W podobny zresztą sposób, muszę to uczciwie przyznać, pisze na temat Huty Katowice cała krakowska prasa, nie wyłączając gazety zakładowej. „Głos Nowej Huty”, pisma, które stało się w pewnym sensie ewenementem pośród innych tego typu wewnętrznych wydawnictw: parędziesiąt tysięcy wydawnictw, obecność w kioskach miejskich (cena: 1 zł), odznaczone Złotą Odznaką Miasta Krakowa i Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Doktor Winiarski mówi:

— Zestawiliśmy się trochę. Jeśli chodzi o produkcję blachy, wciąż jesteśmy nowoczesni, ale we wszystkich wcześniejszych fazach przydałaby się modernizacja. Mam tu na myśli zarówno Wałownię Gorącą i Stalownię Martenowską, jak i Aglomerację i wielkie piece.

— Modernizujecie się jednakże?

— Oczywiście. Poważnym naszym osiągnięciem — była między innymi przebudowa jednego z wielkich pieców z pojemności 1356 m sześciu, na 1710. Jest to w tej chwili w zasadzie całkiem nowa jednostka piecowa.

— Zestarzała się chyba także żaloga, mam na myśli średnią wiek?

— To prawda. Średnia, która wynosiła kiedyś trzydzieści lat, trochę się popsuła. Ale ogromna większość tych, co budowali Nową Hute, na zawsze ustabilizowała w niej swój los. Pracują już ich dzieci, drugie pokolenie, niedługo zaczęły pracować trzecie, tak że ciągłe jest dopływ młodej krwi, i mimo stałej rotacji załogi (przy Kombinacie, w budynku dyrekcji, istnieje specjalne biuro Urzędu Miasta Krakowa do spraw zatrudnienia), Huta od początku swego istnienia, nawet w momentach trudnych i przełomowych, pracuje bez żadnych przestojów, pan rozumie, co mam na myśli? Bez żadnych przestojów!

— Co powoduje wspomnianą przez pana fluktuację kadry?

— Po pierwsze — w naszej dzielnicy nie jest już tak łatwo o mieszkanie, które dawniej otrzymywano niemal równocześnie z podjęciem pracy. Sam pan, jako przyjezdny, zauważył, iż Nowa Huta to obecnie prawdziwy Kraków, a przyjechać ze wsi czy małego miasteczka i dostać od razu mieszkanie w Krakowie, to byłoby obecnie prawdziwe szczęście. Po drugie — w Hucie nie ma już specjalnych preferencji placowych.

Po trzecie — istnieje konkurencja, ot, choćby budownictwo, które nieci młodych łączy z pracą, niewiele mniejszymi zarobkami i perspektywą wyjazdu za granicę. Mówi się po prostu, przyjechać: chodź do nas, nie pożałujesz... Wtrącam:

— Nie tylko po cichu. W dzisiejszej „Gazecie Południowej” czytałem ogromne ogłoszenie Krakowskiego Budownictwa Przemysłowego „Kra-kubud” gdzie oprócz wynagrodzeń za pracę według stawek akordowych, szkolenia wojskowego w Oddziale Samoobrony z przeniesieniem do rezerwy, bezpłatnego zakwaterowania w hotelu, wyżywienia całodziennego, odpłatnego 18 zł, umundurowania organizacyjnego, bezpłatnego ubrania roboczego, raz w miesiącu zwrotów kosztów przejazdu celem odwiedzenia rodziny i możliwości korzystania ze sprzętu muzycznego, sportowego i fotograficznego. Przedsiębiorstwo to wspomina również drukiem o wyjazdach na budowy zagraniczne.

— I mają do tego prawo. Wszystkie przedsiębiorstwa pracują przeciwie dla Polski i każde z nich chce to robić jak najlepiej, co przecież bez uzupełnienia kadry byłoby niemożliwe. Jedno jest pewne — dawne przywileje naszej Huty przejęły Katowice — było to sprawiedliwe, konieczne i słuszne.

— Słyszałem, że macie własne gospodarstwo rolne?

— Tak, i to olbrzymie, o powierzchni 1400 hektarów. Chowamy tam stałe, przez okragły rok, 1000 tuczników. Nie zaspokaja to w pełni naszych miesięcznych potrzeb, ale pozwala wydawać dziennie 22.000 poślików. Wie pan, przy tak ciężkiej pracy, jak w Hucie, na serku się nie pojeździe. Na terenie Kombinatu działają około sześćdziesięciu placówek zbiorowego żywienia.

— Przed laty dyrektor narzekał na brak ośrodków leczniczych i wypoczynkowych.

— Teraz nie narzekamy. Mamy własny, duży, nowoczesny dom w Kryniei, mamy w Koninkach, w Rabie Niżnej i Zakopanem. Tylko nad morzem w dalszym ciągu musimy korzystać z kwatery.

Mają.

Wypracowali sobie, to mają. Stadion, baseny, parki. Siatkarze pną się w górę. Piłkarze wrócili właśnie do II ligi. Nowohucki Teatr, kierowany przez Ryszarda Filipińskiego, gra przede wszystkim dla załogi, ale na ważniejsze przedstawienia tłumnie ściągają publiczność ze Starego Miasta. Był niedawno Edward Gierk. Był Papież. Ide sobie ulicą do przystanku i słucham nie bez wzruszenia, jak mijając mnie, zablakana wycieczka wypiewkuje na całe gardło...

Aha!

O Nowej to Hucie piosenka... Nowa Huta. Czysta, godna, uczciwa, przyjazna. Gotowa w każdej chwili oddać tron śląskiej siostrze, ale na razie... ciągle jeszcze...

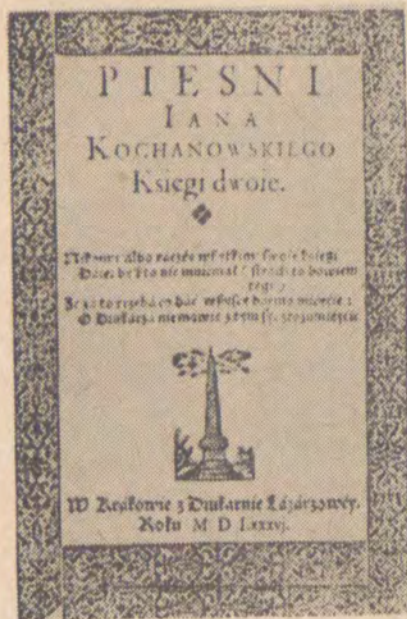
NAJWIĘKSZA!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ODGŁOSY 5

TRADYCJA

Nie przebrzmiał jeszcze huk dział, kiedy 3 maja 1945 roku decyzją Krajowej Rady Narodowej zapoczątkowano realizację Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza. W trzydziści lat od momentu, gdy w 1948 roku zaczęły się ukazywać pierwsze tomy, niemal w przededniu obchodów 35 rocznicy powstania Polski Ludowej, Sejm podjął uchwałę o narodowym wydaniu drugiego wielkiego polskiego poety — Jana Kochanowskiego. Między tymi dwoma faktami — pomnikowymi zame-



opracowaniu naukowym i typograficznym, wraz z nowoczesnym tłumaczeniem utworów łacińskich na język polski...

Wśród licznych zamierzeń składających się na obchody jubileuszu Jana Kochanowskiego, edycja ta będzie najpoważniejszym. Wzorcowe wydanie utworów Jana z Czarnolasu będzie zarazem najcenniejszą i najtrwalszą pamiątką — od stu bowiem lat nie zdobyto się na podobne dokonanie...

WYDANIE DZIEŁ WSZYSTKICH

nie będzie wszakże pamiątką jedynie. Warto w tym miejscu choćby tylko wspomnieć o innych inicjatywach, które — acz od pierwszej z doniosłych rocznic dziełi nas jeszcze rok czasu — podjęli już polscy uczeni, wydawcy, a także władze Ziemi Jana Kochanowskiego.

W Radomiu powołany został Wojewódzki Komitet Obchodów Jubileuszu Poety. Z jego inspiracji podjęto prace konserwatorskie w dworcu czarnoleskim, w kościele w Zwoleniu, gdzie znajduje się tablica nagrobna mistrza Jana oraz w kaplicy sycylińskiej. W czerwcu 1980 roku w czarnoleskim Muzeum zostanie otwarta nowa wystawa, a niedługo potem nastąpi tu uroczyste odsłonięcie pomnika Poety. Jednocześnie powstaje monografia Czarnolasu (ukazała się już natomiast monografia Zwolenia).

Jeszcze w 1979 roku ukazał się w Czytelniku fototypiczne wydanie *Trenów*, a w niedalekiej przyszłości możemy oczekiwać ozdobnie wyda-

sporo — co zagrażało uszczupleniem zysków prawowitych spadkobierców mistrza z Czarnolasu — najwymowniej świadczy zamieszczony przy XVII-wiecznych wydaniach zbioru *Jan Kochanowski przywilej dany na sejmie walnym w Warszawie, roku 1611 synowcom sławnej pamięci J. Pana Kochanowskiego*. Autorem bezprawnych edycji groziła w myśl tego przywileju wina pięćset czerwonych złotych i utracenie wszystkich ksiąg takowych...

Renesans zainteresowania Muzą Kochanowskiego przynosił wiek oświecony — XVIII. W 1767 roku P. Bohomolec wydał *Rytmy wszystkie w jedno zebrane, prócz tych, które wolniejszymi żartami uczciwych czytelników odrzątały*. Edycja ta została wznowiona już w rok później. Kochanowski szybko zdobywał tytuł pierwszego polskiego poety. Pan Podstoli Krasickiego stwierdza opisuując swoją bibliotekę, iż w *rodowitym języku Jan i Piotr Kochanowski pierwsze miejsce trzymają*. A. Fr. Dmochowski pisze w *Sztuce rymotwórczej*:

Jan Kochanowski, w rytmach swoich nieśmiertelny
Calemu Narodowi powieki
Wydoskonalił rymy, chociaż je sam stworzył.
On na słowiańskiej lutni
zawiazałszy strony,
Wydał dokładnie greckie i łacińskie tony,
Zabrzmił w arsy Dawida
niezrównane głosy.
Muzom sarmackim strojne
pozaplatał kosy...

Nauk; wewnątrz PAN problemem tym zajął się Instytut Badań Literackich. I tak się też stało.

Miejscom wydania *Dzieł wszystkich* będzie Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu. Ukazywać się one będą w ramach Biblioteki Pisarzy Polskich. BPP — wydawana od 1889 do 1947 roku pod auspicjami najpierw Akademii Umiejętności w Krakowie, a następnie Polskiej Akademii Umiejętności, wznowiona zaś w zmienionym kształcie edytorstwu w roku 1953 — została — co warto podkreślić — zainspirowana przez Zjazd imienia Jana Kochanowskiego (zwołany w 1884 roku). Poprzez włączenie wydania narodowego *Dzieł wszystkich* Jana Kochanowskiego do Biblioteki Pisarzy Polskich czci się więc dorobek obchodów jubileuszu sprzed stu lat... Tomy *Dzieł* mimo iż będą jednak kolorystycznie wśród innych z tejże serii, będą mieć staranne obwoluty i ponadto — okolicznościową opaskę.

Ustalono, że wydanie liczyć będzie 17 woluminów (*Psalterz* wydany będzie w 4 woluminach, tom *Koordinacja języka poety* w 2, *Wstęp do całości edycji* stanowić będzie osobny wolumin), przy czym wszystkie woluminy złożą się ostatecznie na 12 tomy *Dzieł*. Będą one nosić kolejne numery serii B Biblioteki Pisarzy Polskich: od 22 do 34. Nakład wydania ustalono na 5 tys. egzemplarzy. Jest więc on znacznie wyższy, niż w przypadku zwykłych pozycji BPP. Zaplanowano również wstępnie objętość poszczególnych woluminów. Podano też rzecowy układ wydania. Jest on następujący: *Wstęp do całości edycji* (vol. 1, nr 22 serii B), *Psalterz*, *Treny*, *Fraszki*, *Pieśni*, *Fragmenty*, *Odprowa postów greckich*, *Poematy polityczne i proza*, *Poematy różne*, *Aratus i Phaenomena*, *Poezje łacińskie*, *Nowy Charakter*, *Koordinacja języka poety*.

Za poszczególne tomy odpowie-

wydania mieli już zresztą autorzy edycji *Jana Kochanowskiego Dzieł Wszystkich* — z 1884 roku.

Pierwsze wydanie *Jana Kochanowskiego* pochodzi — co zdołano ustalić — z lat 1585/86, ale trzeba pamiętać, że była to jednocześnie edycja już pośmiertna, a zatem nie możemy mieć pewności, iż teksty utworów w niej zawarte zgodne są z wolą autora. Podobnie rzecz się ma z *Fragmentami* i jedynie wybór pierwodruku *Psalterza* z 1579 roku i *Fraszki* z 1584 jako podstawy tekstu można — w wypadku *Dzieł Wszystkich* sprzed prawie wieku — uznać za weszprzecznie słuszny.

W obecnym wydaniu — narodowym — przyjęto zasadę indywidualnego wyboru podstawy tekstu. Zasady i uzasadnienie wyboru oraz różnice między dawnymi edycjami opisane zostaną we wstępach edytorstkich do kolejnych tomów.

Bardzo obszerny będzie komentarz do tekstów. Podejmuje on — w każdym wypadku — zagadnienia języka i realiów historycznych. Wyraży niezrozumiałe objaśnia się przy pomocy słowników z epoki (tzw. dokumentacja źródłowa). Określa się potoczność bądź nowatorstwo zwłazków frazeologicznych — poprzez odwołanie się do innych utworów z epoki Poety; w przypadku zaś gdy nie można stwierdzić obecności pewnego zwrotu w żadnym innym utworze — podkreśla się jego wyjątkowość. Odnotowuje się również w komentarzu wyrażenia poetyckie, zapożyczone z utworów łacińskich, dawnych i współczesnych Kochanowskiemu (z jednoczesnym podkreśleniem, czy dopiero Kochanowski, czy też wcześniej ktoś inny — i to nie tylko w Polsce — nie zastosował tych zwrotów). Domyślić się można, że samo odszukiwanie prawozorów jest zadaniem bardzo czasochłonnym i wymagającym szczególnej erudycji. Stąd właśnie w zespole redakcyjnym tak wielu filologów klasycznych...

Dodajmy też, że w komentarzu odnotowuje się powtórzenia — w zakresie twórczości samego Poety, a także objaśnia wnikiwie realia utworów (np. odszyfrowuje bogatery fraszki).

Bardzo trudnym zamierzeniem, którego efekty będą odnotowane w Komentarzu, jest określenie stosunku utworów tłumaczonych do oryginałów (czy Kochanowski dany utwor tłumaczył, czy parafrazował). Sygnalizuje się przy tym nie tylko stopień dowolności tłumaczenia, ale także różnice w technice przekładu. Wiadomo, że Kochanowski — np. przekładając *Monachomachie* *Parosy* — usunął większość epitetów Homera, natomiast w *Psalterzu* wprowadził ogromną ich ilość czyniąc — wbrew oryginałowi — epitet jednym z głównych środków wyrazu.

Indeks wyrazów i form w poszczególnych tomach opracowywany jest podobnie, jak w wydanej wcześniej w Bibliotece Pisarzy Polskich *Dafnidy* Samuela Twardowskiego. Zasadniczą cechą indeksu jest to, że części mowy odmienne podawane są we wszystkich formach łącznie i wyrazami wspólnie odmienianymi. Nowum edycji narodowej Kochanowskiego — w stosunku do *Dafnidy* — to z kolei sygnalizowanie faktu, iż dany wyraz jest w rymie. Nowością w całej Bibliotece Pisarzy Polskich utworów natomiast będzie dodanie do indeksu listy wyrazów według ich częstotliwości występowania w utworach Poety. Jest to zamierzenie nowatorskie, a czy potrzebne... Wystarczy dać jeden przykład: w *Trenach* najczęstszym wyrazem jest... partykuła „nie”.

Oprócz indeksów poszczególnych tomów opracowywane są indeksy metryczne: dla utworów polskich i łacińskich osobno. Ze względu na bogactwo układów metrycznych zastosowanych przez Kochanowskiego, indeks ten uporządkowany będzie według incipitów poszczególnych utworów.

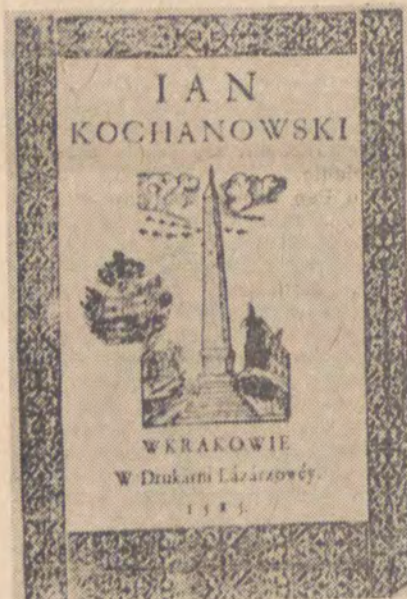
Jak widać z wymienionych tu — dla przykładu — problemów, prace nad samym opracowaniem i przygotowaniem do druku wydania narodowego *Dzieł Wszystkich* Jana Kochanowskiego są bardzo rozległe. Jeden z redaktorów naukowych edycji — doc. dr hab. J. Woronczak, który zapoznał mnie z planowanym kształtem wydania, a także przedstawiciel wydawnictwa Ossolineum — red. Jadwiga Kalmowa, zapewniali mnie wszakże, że zarówno zespół redakcyjny, jak i oficyna dołożą wszelkich starań, aby druk całości edycji zakończono w 1984 roku.

Pozostaje jeszcze tylko jedno — ale za to nader ważne — pytanie: czy dla wszystkich zainteresowanych starczy egzemplarzy wydania narodowego? Sądzę, że nie — zważywszy na nakład: 5 tysięcy egzemplarzy... Ale pociesząco brzmi zapewnienie, że równocześnie z ostatnim tomem wydania narodowego drukarni Ossolineum opuszczać będzie sto tysięcy egzemplarzy wydania popularnego (pod naukową opieką tych samych redaktorów). Edycja ta zawierać będzie teksty przygotowane na podstawie naukowego wydania *Dzieł Wszystkich*. Recepcję dzieł Poety ułatwi — włączony za każdym razem do książki — wstęp historyczno-literacki i — szczerzej, ale nie mniej autorytatywny — komentarz.

HENRYK SIKORA

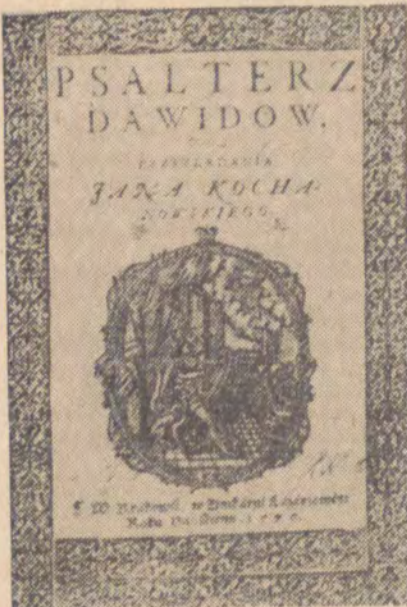
„JAN KOCHANOWSKI W RYTMACH SWOICH NIEŚMIERTELNY”

zreniami wydawniczymi, istnieje głęboki związek. W obu wypadkach — mocą uchwały najwyższej rangi państwowej — oddany został na własność całego Narodu nie tylko wybit-



ny poeta, ale zarazem — światły obywatel i patriota, humanista i myśliciel, będący dla wszystkich pokoleń Polaków świadectwem wielkości Narodu.

Z inicjatywą Narodowego Wydania



Dzieł Wszystkich Mistrza z Czarnolasu wystąpił na XII Plenum Partii w dniu 15 czerwca 1978 roku Edward Gierk. 26 października na posiedzeniu Sejmu zapadła uchwała w tej sprawie. Czytamy w niej m. in.: *Sejm PRL dla upamiętnienia 450 rocznicy urodzin oraz 400 rocznicy śmierci znakomitego humanisty i wielkiego poety Jana Kochanowskiego, twórcy polskiego języka literackiego, świadoma wielkiej roli sztuki poetyckiej i myśli patriotycznej Poety dla rozwoju kultury narodowej i ogólnoludzkiej, postanawia zrealizować narodowe wydanie dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego, aby dostarczyć społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorcowym*

nym, oprawnych w skórę zbiorów poezji Kochanowskiego i Norwida, którego — nie zapomnijmy w tym nawale dat — setną rocznicę śmierci obchodzić będziemy za cztery lata.

Przed paroma miesiącami Wydawnictwo Ossolineum opublikowało w zasluzonej dla wiedzy o literaturze serii Biblioteki Narodowej — *Treny*. W 1919 roku właśnie *Treny* zapoczątkowały serię BN, obecnym zaś — czterastym wydaniem — wieńczą jej sześćdziesięciolecie...

MÓWIENIE O WIELKOŚCI KOCHANOWSKIEGO

jego pozycji w literaturze polskiej i europejskiej, popularności wśród czytelników, nie jest tutaj chyba konieczne.

Historia potwierdziła w pełni słusność pełnych wiary wyznań Poety... Tego z pieśni 24 księgi drugiej: *O mnie Moskwa i będą wiedzieć Tatarowie*
I różnego mieszkańcy świata
Anglikowie;
Mnie Niemiec i waleczny Hiszpan,
mnie poznają,
Którzy głęboki strumień Tybrowy pijają...

i tego — z poematu lirycznego *Muzy*...

Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty

Nie będą moje czule noce bez zapłaty,

A co mi za żywota ujmie czas

dzisiejszy,

To po śmierci nagrodzi z lichwą

czas późniejszy;

I opatrzył to dawno syn pięknej

Latony,

Ze moich kości popiół nie będzie

wzgardzony!

Twórczość Kochanowskiego — wedle słów Ignacego Chrzanowskiego pierwszego natchnionego poety nie tylko w Polsce, ale w całej Słowiańszczyźnie — zajmuje miejsce szczególne. Dzięki swej artystycznej doskonałości stała się ona ideałem i wzorem dla całych pokoleń poetów. Kochanowski nie miał równych sobie w poezji polskiej poprzedników. Toteż z całym przekonaniem mógł powiedzieć w słynnym dwuwierszu:

I udarłem się na skalę pięknej

Kalipyj,

Gdzie dotychczas nie było znaku

polskiej stopy.

Miał jednak — godnych siebie — następców... Oto z mickiewiczowskiego Pana Tadeusza dobiega do nas piękny wiersz: *Wszak lipa czarnoleska, na głos Jana czuła. Tyle rymów natchnęła! Nie tylko — dopowiedzmy — rymów samego Mistrza.*

Nadzieje Poety miały się rychło zrealizować. Jeszcze u schyłku wieku XVI i w I połowie XVII ukazało się 12 wydań dzieł zebranych pt. *Jan Kochanowski 1* tyleż samo wydań *Fragmentów*, a także 13 edycji *Fraszki* i 21 *Psalterza Dawidowego* (tylko do roku 1611). Osobno wydawano *Pieśni* i *Treny*. Oprócz tych druków do rąk czytelników trafiały odpisy rękopiśmienne. Wypuszczano też podruki. (np. *Psalterz* — z datą 1606 roku). Teksty Kochanowskiego zamieszczano w śpiewnikach świeckich i religijnych. Istniały też edycje korsarskie. Ze druków takowych było

Nie mniejszą cześć darzy Kochanowskiego wiek XIX. Mickiewicz pisał o tym największym przed... Mickiewiczem pocie nie tylko w *Panu Tadeuszu*, ale i w paryskich *Prelekcjach*. Dla Słowackiego Kochanowski był ostatecznym autorytetem w sztuce poetyckiej (na niego to właśnie powołuje się w słynnej dygresji o istocie poezji — w *Beniuśskim*).

Nie miejsce tu na przytaczanie głosów wielu innych poetów o Muzie Kochanowskiego. Ważne jest natomiast, że towarzyszyli im — przez cały wiek XIX — następne wydania dzieł zebranych.

W roku 1884 ukazywać się zaczęły *Dzieła wszystkie* Jana Kochanowskiego. Myśl opublikowania tego — pomnikowego wydania — rzucił — dla uczczenia trzzechsetnej rocznicy śmierci Poety Roman Plenkiewicz — autor monografii pt. *Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła*, która stanowiła w pomnikowym wydaniu twórczości Poety opasły, czwarty tom.

Warto wiedzieć, że zamysł nowej edycji jubileuszowej — związanej ze zbliżającą się 450 — rocznicą urodzin Kochanowskiego — zrodził się już wkrótce po zakończeniu II wojny światowej.

UCHWAŁA SEJMU Z 26 PAŹDZIERNIKA 1978 ROKU

pozwoliła ująć te wcześniejsze wysiłki uczonych i edytorów w konkretne ramy wydawnicze.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych naszego stulecia zostały wykonane diapozytywy pierwszych wydań poszczególnych utworów Kochanowskiego. Podjęto wtedy równocześnie prace nad opracowaniem *Słownika polszczyzny XVI wieku*. Ze względu na szczupłość kadry naukowej nie można jednak było realizować równoległe dwóch tak poważnych przedsięwzięć. Zmuszony obiektywnymi warunkami Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk wybrał *Słownik* — zamierzenie długotrwałe: realizowane w tej chwili już 26 rok i obliczane jeszcze na kilkanaście dalszych lat. Aktualnie istnieją już kartoteki wszystkich haseł tego słownika, trwa wszakże ich żmudne opracowywanie.

Podjęty przed prawie 30 laty wybór, aczkolwiek wówczas trudny, okazał się trafny. Poprzez prace nad *Słownikiem* stworzono bowiem znakomitą warsztat naukowy dla zespołu uczonych zajmujących się dorobkiem Jana Kochanowskiego. Nie sposób bowiem ocenić wartości i znaczenia tekstów tego poety bez znajomości tła językowego epoki.

Mimo skupienia wysiłków nad *Słownikiem*, nie zaniechano prac edytorstkich nad *Dzielnymi wszystkimi* Kochanowskiego, czego świadectwem są wydawane w Bibliotece Narodowej *Treny* i *Fraszki* (przez prof. dr Janusza Pelca), *Odprowa postów greckich* (przez prof. dr Tadeusza Ulewicza) i inne edycje.

Jednak dopiero uchwała Sejmu przyspieszyła poczynania uczonych. Wykonanie uchwały Sejm zlecił przede wszystkim Polskiej Akademii



działni są wytypowani członkowie kolegium redakcyjnego (cały zespół liczy 19 osób z redaktorami naukowymi: prof. dr Marią Renatą Mayenową i doc. dr Jerzym Woronczakiem na czele). Wśród nich zwraca uwagę obecność znacznej liczby filologów klasycznych.

Terminy składania maszynopisów w Wydawnictwie są już bliskie. Tomy — ze względu na różny stopień zaawansowania prac edytorstkich nad poszczególnymi grupami utworów — nie mogą być jednak wydawane według podanej wyżej kolejności.

Najszczęśliwiej, bo w przyszłym roku, ukaza się: „Wstęp do całości edycji” (opracowany przez redaktora naczelnego — prof. dr M. R. Mayenową) i „Treny”. W roku 1981 powinny ukazać się: „Psalterz” i „Odprowa postów greckich”. Całość edycji zostanie ukończona w 1984 r. Zgodnie z wydaną tradycją, w pierwszych tomach zgrupowano lirykę, zaś utwory łacińskie — w ostatnich. Tłumaczem utworów łacińskich jest zmarły niedawno znany poeta Tadeusz Kubiak.

Przewiduje się, że układ pojedynczego tomu będzie następujący: wstęp edytorski, tekst (prawie strony — fotokopie, lewe — transkrypcja), komentarz oraz indeks wyrazów i form językowych. W transkrypcji zachowa się kreskowanie samogłosek — zgodnie z edycją obraną za podstawę tekstu.

W tym miejscu

ZACZYNIAJĄ SIĘ KŁOPOTY EDYTORA,

które wynikają z faktu, iż spośród licznych — XVI i XVII-wiecznych — edycji dzieł mistrza z Czarnolasu trudno jest wybrać taką, którą — bez zastrzeżeń — można by w całości potraktować jako podstawę tekstu dla wydania naukowego. Ani edycja *Jan Kochanowski* z lat 1585/86, ani też następne ukazujące się w krótkich odstępach czasu, nie spełniają wszystkich warunków, nakładanych przez nowoczesne edytorstwo. Kłopoty z ustaleniem podstawy

Dalszy ciąg ze str. 1

Jerzy Pryma 27 września 1979 roku skończy siedemdziesiąt lat. Jest drobny, niewysoki, bardzo żywotny i nie istnieje dla niego pojęcie „nudy na emeryturze”.

— Jestem stale w ruchu, to mi pomaga żyć, myśleć i działać. Jestem członkiem KŁ PZPR, pracuję w dwóch komisjach i pełnię funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Łódzkiego TPPR. Przyjeżdżają delegacje, trzeba je przyjmować, pokazywać Łódź, która stała się moim miastem, i tak wciąż w ruchu... Nie czuję się „na emeryturze”. Lubię zajęcia. A wie pan, z czego najbardziej jestem zadowolony? Ze mimo wieku wciąż mogę dużo czytać i myśleć logicznie, że zachowałem dobrą pamięć. Tylko ten reumatyzm... Gimnastykuję się co rano i jakoś to zwalczam. Cóż,

go walka z Niemcami będzie miała inny charakter. Był fachowcem od budownictwa, a w czasie wojny trzeba było także budować.

Swierdłowski. Było wielkie pustkowie, głębokie lasy... dyrektor. Ani pily, ani młotki, ani baraku, a oni mieli tam budować wielki zakład, który po kilkudziesięciu latach pokazał mu ktoś na okładce „Ogonioka” i to wtedy bardzo go wzruszyło.

— Zaczęliśmy od ziemianek. Pożyczyliśmy od chłopów pily i wkrótce stanęły baraki, założyliśmy dynamo i zapłonęło światło. W prymitywnych warunkach budowaliśmy, ewakuowaliśmy z Charkowa zakład chemiczny, ale za dwadzieścia miesięcy ruszyła produkcja na front. Nikt się nie oszczędzał, ani Rosjanie ani Polacy, i wszyscy byli równi: technicy i inżynierowie schodzili razem ze stano- wisk. A później był ewakuowany z Leningradu zakład aparatury elek-

wo szybko. Na ogół rolę ZPP ogranicza się do organizacji wojska, a ja myślę, że należy tutaj szczególnie podkreślić znaczenie ZPP w krzewieniu polskości i podtrzymywaniu ducha narodowego. Mimo błędów, mimo doznanych krzywd ludzi musieli zrozumieć i zrozumieć, że chociaż stracili najbliższych i ojczyznę, stają przed wielką szansą jej odzyskania, i to innej, sprawiedliwej, w której dokona się rewolucja społeczna. Polonia odżyła, zbrała się, matki pracowały, a dzieci uczyły się nie zostały analfabetami...

Kiedy zakończył repatriację, pojechał na kilka tygodni do Moskwy, a potem wrócił do kraju i przystąpił do pracy w KC PPR jako inspektor wydziału organizacyjnego. Później był kolejno I sekretarzem KW PZPR w Szczecinie, Krakowie, w Warszawie i w Łodzi. Od 1956 do 1964 roku wiceprzewodniczącym

To myśmy zbudowali całe gąbrzeża i stocznię!

Nie stać ich było na luksusy. Liczył się przede wszystkim przemysł, ale miasto leżało w gruzach i trzeba było je odbudować, wyremontować domy, dać nowe mieszkania. Na Walech Chrobrego wzniesli drugi teatr, w pięknej willi otworzono dom kultury dla dzieci Pryma myślał o restauracji Zamku Piastowskiego. Nie było środków.

— Szczegółowej troski wymagała również gospodarka ziemią. Czasy były napięte, ale ja się nie bałem i nie pozwalałem na się zakładać spółdzielni produkcyjnych. W 1952 roku opuszczałem Szczecin z czystym sumieniem, zostawiając tam silną bazę materialną pod przemysł. Miasto było spokojne, życie ustabilizowane.

— Kraków był inny, to specyficzne miasto.

Jednocześnie koncentrowano się na rozbudowie zakładów, żeby dać ludziom pracę. Rozpoczęto budowę „Chelmka”, zaawansowana była budowa Nowej Huty. To już legenda, pełna karta historii Polski Ludowej. Trudne warunki, taczki, łopaty i ściągani z Lubelskiego wozacy, którzy wywozili ziemię. A ziemia na łąkach, po deszczu grząska, trudna. Ludzie dawali z siebie wszystko, bez względu na przynależność partyjną. I wciąż gonitwa z czasem, nadrabianie, bo brak siły roboczej.

— Huta powstawała blisko Śląska, gdzie ruda i węgiel, ale przede wszystkim miasto zapewniało pracę przeludnionym wsiom. No, ale Myślenice o 50 km, nędza i ubóstwo, a do roboty w Hucie nie szli, bo silniejsze były wpływy reakcji. I myśmy musieli przełamywać uprzedzenia, wozić młodych na wycieczki, pokazywać, co to jest ta Huta.

Pamięta, jak zaczęło oddawać nowe mieszkania. Radosć. Pamięta, jak przecinał wstęgę i z Krakowa do Nowej Huty ruszył tramwaj, i jak w obecności premiera Józefa Cyrankiewicza rozpalono pierwszy wielki piec.

— Nigdy nie zapomnę inżyniera Demakowa, który budował wcześniej Magnitogorsk. Nową Hutę „miał” w małym notesie, to była jego nowohucka encyklopedia. Wspaniały, człowiek, życzliwy, wyrozumiały, nigdy nie narzucał swojej woli. Jadąc do Warszawy, zginął w wypadku samochodowym. Kierowca chciał uratować dziecko na drodze i wpadł na stulp...

— Przed dziesięciu laty rozmawiałem z Panem o pracy posła Stwierdził Pan wówczas, że na spotkaniach poselskich wyborcy najczęściej poruszają problemy opieki zdrowotnej na wsi, zaopatrzenia w maszyny rolnicze i materiały budowlane oraz stawiają pytanie: „Kiedy wreszcie skończycie z tymi „kontyngentami”?”

— Najważniejsze z tych postulatów zostały zrealizowane. Inne nadal są aktualne. Ale ja już wtedy stwierdziłem na komisji sejmowej sprawy obowiązkowych dostaw i ubezpieczenia wsi. Zrugano mnie za to. A po czasie ci, co mnie rugali, zaczęli popierać moje wnioski. W 1956 roku byłem przeciwny rozwiązywaniu wszystkich spółdzielni produkcyjnych. Rozwiązywałem te, które nie rokowały żadnych nadziei, dobre chęci utrzymałem. Mamy wspaniałe osiągnięcia, dokonaliśmy kolosalnych rzeczy, a na końcu okazało się, że najważniejszy jest problem wyżywienia.

— Co Pan uważa za swoje największe osiągnięcie? — To że zawsze potrafiłem znaleźć u ludzi zrozumienie i sam ich rozumiałem. Wiem, że wielu ludziom pomogłem, nikomu nie wyrządziłem krzywdy. Zachowałem twarz, godność i postawę komunisty. Nie mam działki, samochodu, ani willi. Jestem dumny z córki, która zdobyła III miejsce w finale ogólnopolskim olimpiady języka polskiego. Ukończyła maturę, ma piątkę z angielskiego i bez egzaminów zostanie przyjęta na iberystykę.

W jego wilgotnych, spłowiałych oczach, niegdyś niebieskich, maluje się wzruszenie.

— Miałem swój piękny dzień w życiu. 17 stycznia 1945 roku, około godziny siedemnastej, korespondent TASS w Kijowie doniósł, że została wyzwolona Warszawa. Wtedy się popłakałem. Tego dnia na ulicach Kijowa tańczono i salowano się. Tam też kochano Warszawę...

— Czego Pan oczekuje jeszcze w życiu?

— Pragnąłbym, aby nasze dzieci nie znały słowa „wojna” i żeby Polska, budując swoje rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne, wciąż rozkwitała i umacniała swoją rolę na arenie świata. Żeby to była Polska młodych, młodzieńcza, idealna, dla której poświęciłbym całe życie kierując się sercem i rozumem, gdyż one stanowią jedność w życiu i działalności człowieka.

— Życzymy tego Panu i sobie.

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: Archiwum

ODGŁOSY 7

ROZUMEM I SERCEM

nie ma rady, w robocie konspiracyjnej nieraz trzeba się było przespaciać na łące...

Syn chłopca spod Lwowa. Wygląd fizyczny nie odzwierciedla tego, może tylko dłoń, które mimo trzydziestu pięciu lat pracy na wysokościach stanowiskach, nie zmieniły kształtu i nadal są duże i ciężkie.

— Miałem cztery siostry i dwóch braci, rodzina duża, a ojciec biedny, kilka morgów ziemi. Najmniej pamiętam ojca, bo wcześniej zmarł. Wiem, że był wójttem i jako człowiek czytany cieszył się na wsi autorytetem i był lubiany. Zostałem z matką, brat poszedł do wojska. Chciałem coś robić, kimś być, ale nie miałem szans, to zaś że jako jedyny z rodziny zdobyłem średnie wykształcenie, zawiązywałem wązki, który zabrał mnie ze wsi do Lwowa. Sam wiele pracowałem, miałem nawet wyższe aspiracje, ale w tamtych warunkach było to niemożliwe. Zrobiłem najpierw małą maturę, a potem ukończyłem technikum na Snopkowskiej i rozpocząłem pracę jako technik budowlany...

W szkole zetknąłem się z grupą młodych ludzi o gorących głowach. Dyskutowali, podzuczali literaturę. Czytał, patrzył na swoje życie i na życie innych ludzi, zaczynał dostrzegać nieprawidłowości, wszystko to, co czyniło życie tysięcy ludzi niesprawiedliwym. Jako szesnastoletni chłopiec był już członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży, w roku 1928 został członkiem partii i ledwie rozpoczął pracę w komisji partyjnej na Żółkiewskiej, a potem w komitecie dzielnicowym, na osiem miesięcy musiał pożegnać się z wolnością.

Był działaczem komitetu podmiejskiego, obejmującego zasięgiem okolice Lwowa, później zaś wysłano go w charakterze sekretarza komitetu do Tarnopola, gdzie miała miejsce prowokacja, organizacja została rozbita i trzeba było ją odbudować. Tam wpadł na dobre, dostało mu się dziesięć lat, zmniejszone po rewizji do ośmiu lat, które przesiedział w Rawie.

W 1939 roku został wybrany delegatem na zjazd pracowników przemysłu budowlanego, który odbywał się w Warszawie przy ul. Sienniej. Na zjeździe wystąpił z wnioskami o likwidację Berezki Kartuskiej. Wniosek przeszedł, opracowano specjalną rezolucję, nie Berezka pozostała, a wszyscy głosujący za likwidacją obozu jednego dnia znaleźli się w nim nie wiedząc, że dopiero wybuch wojny pozwolił im stamtąd wyjść. Pryma pamięta, że wśród więźniów był łódzianin, Władysław Gawron, który zginął później jako skoczek.

Chciał walczyć, ale okazało się, że potrzebny jest gdzieś indziej i że je-

trzycej. Zima, 35 stopni mrozu, a myśmy kopali fundamenty, ustawiali stalowe stupy i zalewali betonem. I murowaliśmy w te mrozy! Do tego zakładu trzeba było ciągnąć wodę aż z Krasnouralska, kilka kilometrów przez las. Na głębokości 2,60 m ziemia była zmrożona, kopaliśmy więc głębsze rowy, żeby położyć rury. Brakowało sprzętu technicznego, wszystko ręcznie...

— Armia Czerwona cofnęła się pod Moskwę i Stalingrad. Jakie panowały nastroje? Przecież byliśmy na obcej ziemi, pozabawieni ojczyzny?

— Byłbym skłamał, gdybym stwierdził, że w początkach wszyscy byli tacy świadomi politycznie, że stąd wiedzie najkrótsza droga do Polski. Ale nigdy nie zapomnę postaci polityka Semenowa. To był prawdziwy komunist, wiedział, jak można podtrzymać ludzi na duchu. Powoli zaczynaliśmy rozumieć wiele spraw. Ale do tego nie trzeba było wykładów ideologicznych. Wystarczyło popatrzeć na setki młodych rosyjskich dziewczetek. Pracowały ciężko, w straszliwych warunkach, po dwanaście godzin, a po pracy szły... na tańce. Taka już jest rosyjska dusza. I kiedy tak rozglądał się wokół siebie byliśmy coraz bardziej pewni, że pracując, walcząc z Niemcami, w Swierdłowsku każda ulica, każdy najmniejszy warsztat, pracowały dla frontu. A kiedy widzieliśmy te setki młodych, które wyprowadzano z zakładu zbrojeniowego każdego dnia, zaczęła się rodzić nadzieja, że jednak można stąd dojść do Polski.

W 1943 roku w Swierdłowsku powstał oddział Związku Patriotów Polskich. Pryma był niezastąpiony na budowie, ale doceniono znaczenie jego pracy w ZPP i został zwolniony z budowy. Przeniósł z Północy na Ukrainę 90 tys. Polaków.

— Stwierdziłem wtedy, z radością zdziwieniem, że czas potrafi zabliźniać rany. Różne były losy Polaków rzuconych na daleką Północ, a przy rozstaniu całowali się z Rosjanami, bo żyli się z nimi, stali się serdecznymi przyjaciółmi, tworzącymi wspólną wojenną doli.

Jako przedstawiciel ZPP na Ukrainie zorganizował w Kijowie biuro i rozpoczął działalność. Nie u wszystkich znajdował zrozumienie, były trudności. Założył też biuro ZPP w Dniepropietrowsku. Z podpisem Prymy na karcie repatriacyjnej wielu ludzi szybko docierało do ojczyzny.

— Z początku był tylko zimny, pozabawiony światła hotel w Kijowie, potem wszystko się rozkręciło. Trzeba było zapewnić tysiącom ludzi mieszkania i pracę. Trzeba było zorganizować szkoły, wydrukować polskie podręczniki i znaleźć polskie nauczycieli. Dzięki pomocy ofiar- nych ludzi dokonałem tego stosunko-

WRN w Łodzi. Przez następne siedem lat posłem do Sejmu PRL.

Poznałem się w namyśle, usiłując wydobyc z pamięci atmosferę tamtych dni. Szczecin, rok 1949. Ogromne województwo, łącznie z Koszalinem, który nie był jeszcze odrębną jednostką administracyjną. Konglomerat ludzi, rzucony przez wydarzenia historyczne na nową ziemię.

— Trzeba było szementować i utworzyć Polskę na tej starej piastowskiej ziemi, która po wiekach wróciła do macierzy. Nie było łatwo. Działala propaganda niemiecka, panowała atmosfera zastraszania i niepewności, tymczasowości, buszowali szabrownicy. Ludzie, którzy tutaj przybywali, byli pod wrażeniem, że to nie ich. Uciekali.

Milnie, skupia myśl i potem mówi, że oprócz spraw ludzkich, tak istotnych w owym okresie, były inne, nie mniej ważne. Przede wszystkim zadania Planu 6-letniego. Przemysł. Brak kadry. Inżynierów, techników, specjalistów, wykładowców. Otworzyli Akademię Medyczną, Politechnikę, on sam wystąpił o utworzenie Wyższej Szkoły Rolniczej. Zmodernizowali hutę w Stoleczynie, uruchomili fabrykę sztucznego jedwabiu w Żydowie. Przypomina, że mimo błędów popełnianych w tamtym czasie, Szczecin miał dobry aktywny partyjny i wiele spraw udało się szybko zrealizować.

— Kraj nie miał jeszcze produkcji, a potrzebne były dewizy. Co można było eksportować? Węgiel. I to przez Szczecin. Instalujemy pierwszy taśmowiec i pierwsze wywoziki do wysypywania wagonów. Niektórzy krzyżeli: Po co? Co to da? Myśmy chcieli pokazać, że Niemcy tutaj odpoczywali, w nie nie inwestując. I rzeczywiście, to był kurnik nie port!



Foto: Archiwum

głęboko Polskę odbudować. Skoro szlachta była winna upadku państwa, nie mogła tworzyć nowego, bowiem miało ono być przecież inne aniżeli to, które upadło. Koncepcje nowej Polski były oczywiście niebawem zróżnicowane, od umiarkowanego demokratyzmu, burżuazyjnego poprzez rewolucyjno-szlacheckie do bardzo radykalnych. Wśród tych ostatnich rozdzieli się bardzo nowoczesne koncepcje przyszłej Polski, jako Polski wszystkich Polaków, a także Polski ludu. Te koncepcje narodziły się bardzo wcześnie w środowisku polskich jakobinów tam gdzie mówili się, że lud polski jest narodem. Były to koncepcje bardzo jeszcze enigmatyczne, nierozbudowane, ale miały one później ogromne znaczenie dla rozwoju polskiej myśli demokratycznej i rewolucyjnej.

A. BARSZCZEWSKA: — Miało to znaczenie dla rozwoju myśli polskiej przynajmniej trzech pokoleń Polaków.

A.F. GRABSKI: — Miało to znaczenie dla kształtującej się myśli rewolucyjnej, która wyprzedzała swoją epokę i widziała przysiężną Polskę nie tylko jako Polskę wszystkich Polaków z zachowaniem dotychczasowej struktury społecznej, ale Polskę ludu, Polskę mas plebejskich.

A. BARSZCZEWSKA: — Na kształt polskiej myśli politycznej XIX wieku wpłynęły idee Wielkiej Rewolucji Francuskiej oraz idee, które znalazły wyraz w Konstytucji 3 Maja i Powstaniu Kościuszkowskim. Z myśli politycznej



Alina Barszczewska

jakobinów, a szczególnie jego lewego skrzydła reprezentowanego przez Kazimierza Konopkę, Franciszka Gorzkowskiego, Jakuba Jasńskiego, Tomasza Maruszewicza, wywodził się nurt upatrujący się i opierający w walce z zaborcami w ludzie polskim pojmowanym dość szeroko. Pod tym mianem rozumiano nie tylko masy szlacheckie i bezrolną gółę, których Konstytucja 3 Maja pozbawiła praw politycznych. Ludzie tak myślicy przez cały czas rozbiorów byli nie tylko rzecznikami ludu i jego praw, ale walkę o te prawa wiązali z walką o odzyskanie niepodległości.

Poszukiwanie dróg dla odzyskania niepodległości wskazywało nieuchronnie na konieczność przebudowania stosunków społecznych w kraju, uczyńnięcia z mas plebejskich obywateli, którzy mieli stać się podporą w walce o niepodległość. Wiązano z tym, może jeszcze nie zbyt dokładnie sprezyowane hasło rewolucji agrarnej.

A.F. GRABSKI: — Początkowo hasło radykalnych przemian na wsi podporządkowane było idei walki o niepodległość. Lud szeroko rozumiany, obejmujący masy plebejskie miast i wsi, był traktowany jako przedmiot działania politycznego różnych grup, które z tym ludem się nie identyfikowały.

A. BARSZCZEWSKA: — Oczywiście, to dopiero później walka o prawa ludu stanie się celem równorzędnym z odzyskaniem niepodległości, a nawet celem ostatecznym. Ale na przełomie XVIII i XIX wieku aż do Powstania Listopadowego sprawa chłopów była traktowana instrumentalnie. Idee przemian agrarnych nie wychodziły od mas ludowych, były formułowane przez ludzi stojących na zewnątrz, którzy potrzebę przebudowy struktury społecznej wiązali z celem walki politycznej, walki o niepodległość. Często kierowali nimi nie motywy społeczne, ale polityczne, a motywy moralne, humanitarne, a nawet religijne, choćby miłość bliźniego, czy hasło sprawiedliwości społecznej rozciągnięte nie tylko na szlachtę ale i na inne warstwy społeczne.

A.F. GRABSKI: — Istnienie takich poglądów w polskiej myśli politycznej tamtego okresu spowodowało, że po upadku Powstania Listopadowego, kiedy bliżej zetknięto się z wszystkimi nowoczesnymi poglądami politycznymi i społecznymi zachodniej Europy, nastąpiło niesłychane zafascynowanie socjalizmem utopijnym.

A. BARSZCZEWSKA: — W polskiej myśli społecznej była bardzo żywa argumentacja uzasadniająca potrzebę wyrównania krzywd wiekowych, głosząca sprawiedliwość społeczną opartą na motywach religijnych, rozumianych jako odkupienie winy przodków, jako rekompensatę za popełnione krzywdy i niesprawiedliwość wobec ludu.

„ODGŁOSY”: — W całym tym okresie naszej historii, który nazywamy rozbiorami, dwukrotnie powołano do życia państwo. Nie odpowiada-

dało ono wprawdzie aspiracjom narodu, ale zadowalało niektóre jego warstwy i siły społeczne wówczas działające. Jaki to miało wpływ na rozwój polskiej myśli społecznej?

A. BARSZCZEWSKA: — Hasło Polski ludu, pod które podkładano zupełnie inne treści niż dziś, a którego celem było podniesienie plebejszy i chłopów do godności obywateli, napotykało opór ze strony tych, którym obce były wszelkie reformy na wsi. Na przykład magnateria ze zrozumiałych powodów bała się wszelkich reform, wszelkich hasel rewolucji agrarnej. Również państwa zaborcze tym silnie tępiły wszelkie przejawy ruchu niepodległościowego im większe miały na powiązania z hasłami przemian społecznych.

Polska myśl polityczna, która w swoich programach wypisywała hasło Polski ludu, rozwijała się w podziemiu, a na powierzchnię wychodziła dopiero w czasie powstań narodowych. Była ona oczywiście zróżnicowana i ujawniała się prezentowała społeczeństwu sporo różnych, niekiedy sprzecznych ze sobą propozycji. Myśl ta przysięgała, jakby straciła swój blask i żywotność właśnie w okresach, kiedy powstały państwa: Królestwo Warszawskie i Królestwo Polskie. W moim przekonaniu została ona wówczas zdominowana niejako przez oficjalny nurt życia politycznego, opierający się na założeniach konstytucyjnych Królestwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego.

Konstytucja Królestwa Warszawskiego z lipca 1807 roku w artykule 4 głosiła, że „znosi się niewola” i że wszyscy są równi wobec prawa. Znosząc poddaństwo chłopów z ograniczeniami sformułowanymi w dekrecie z grudnia 1807 r., nie naruszyła jednak dotychczasowych stosunków społecznych. Zapowiadała znaczne rozszerzenie praw politycznych na sfery zamożniejsze — mieszczaństwo oraz elitę rodzającą się inteligencję. Liberalna konstytucja Królestwa Polskiego z 1815 roku również — jak się wydaje — zaspokajała na początku aspiracje i nadzieje znacznej części społeczeństwa polskiego.

I to były te źródła polityczne i społeczne, które spowodowały, że w okresie kształtowania się myśli jakobińskiej znacznie ostrzej formułowane były postulaty Polski ludu niż w okresie późniejszym.

A.F. GRABSKI: — W okresie, kiedy Aleksander I odwraca się od liberalnej polityki, powstaje też potrzeba obrony tego, co ta polityka gwarantowała, potrzeba zachowania status quo. I to też odwracało uwagę od innych spraw, kierowało myśl polityczną na inne tory.

„ODGŁOSY”: — Jakobińskie idee odróżniają się wszakże w późniejszym czasie. To nie było więc całkowicie zerwanie z tym nurtem myśli politycznej.

A. BARSZCZEWSKA: — Ale odróżnia się one w nowej formie. Nowe pokolenie Polaków, które umownie można nazwać pokoleniem autorów Nocy Listopadowej, w nowych warunkach i z trudem będzie się dorabiała nowych programów, czerpiąc z przeszłości, ale też uwzględniając nowe warunki życia politycznego, społecznego, intelektualnego. W zmieniających warunkach nie mogła to już być prosta kontynuacja myśli jakobińskiej, musiała ona ulec niezbędnej modyfikacji. W tym pokoleniu nadal były przecież żywe idee Rewolucji Francuskiej i były one wyrazem dążeń do przebudowy społeczeństwa polskiego w duchu burżuazyjnym. Idee te zostały skojarzone z romantyzmem, który w Polsce rozbudził zainteresowanie ludem i ludowością, a także wiązały się z opozycją przeciw systemowi zarządzania krajem.

A.F. GRABSKI: — Zainteresowanie ludem można było obserwować też i w Oświeceniu. Teraz nabrało ono innego znaczenia. Uważano, że skoro naród istnieje, to ma on do spełnienia jakąś misję. Istotą narodu jest lud, bo w jego kulturze zakodowana jest misja, jaką naród ma do spełnienia. Ta misja zachowywała się w kulturze ludowej dlatego, że inne warstwy narodu ulegały różnym obcym wpływom, a lud tym wpływom nie ulega. I stąd brało się wówczas to zainteresowanie ludem.

A. BARSZCZEWSKA: — Warto przy tym chyba też pamiętać, że w tym czasie rozwój myśli politycznej i społecznej postępował jakby za wydarzeniami, a nie wyprzedzał ich. Dopiero podczas Powstania Listopadowego nastąpiło gwałtowne odwołanie się do myśli politycznej, jej szybki rozwój i dojrzewanie. W czasie Powstania Listopadowego ukazywało się na przykład około 50 czasopism, na łamach których toczyły się żywe dyskusje nad przyszłością Polski i głos w tych dyskusjach zabierali nie tylko czołowi przywódcy Towarzystwa Patriotycznego, ale prości ludzie walczący w szeregach powstańczej armii. To świadczy o szerokiej percepcji tej myśli.

„ODGŁOSY”: — Ukazywały się wówczas różne pisma ulotne, toczyły się dyskusje obozowe. Wynikało to z ówczesnej atmosfery napięcia i podniecenia. Ludzie zdawali sobie sprawę, że ważą się przecież ich losy i losy kraju. To miało później ogromne znaczenie dla rozwoju myśli politycznej na emigracji.

A. BARSZCZEWSKA: — Wpływ na kształtowanie się myśli politycznej Powstania Listopadowego miał niewątpliwie fakt wielkiej aktywności mas ludowych zwłaszcza w stolicy. To wyraźnie przyspieszyło proces radykalizowania się myśli politycznej Towarzystwa Patriotycznego a nawet Sejmu. W dziejach Polski XIX wieku był to pierwszy przypadek, kiedy nastąpiło tak bliskie sprężenie się myśli z praktyką, że powstała nowa jakość w rozwoju myśli demokratycznej. I to miało również późniejszy wpływ na kształtowanie się myśli politycznej Wielkiej Emigracji. Dalszy rozwój tej myśli nastąpił już na emigracji, kiedy trzeba było dokonać oceny przyczyn klęski Powstania Listopadowego.

A.F. GRABSKI: — Wielka Emigracja jest to okres w naszych dziejach, kiedy kształtują się w pełnym tego słowa znaczeniu nowoczesne orientacje społeczno-polityczne, które wyznaczają główne kierunki naszej myśli politycznej do powstania nowoczesnego ruchu robotniczego. Wtedy właśnie wyznaczone zostały kierunki myślenia na kilkadziesiąt lat.

A. BARSZCZEWSKA: — Według tych kierunków orientowali się też twórcy Powstania Styczniowego, choć się werbalnie często od tego odcinali, a także pierwsi polscy socjaliści. Orientowali się według tych kierunków Teodor Tomasz Jez zanim nie przeszedł na pozycję prawnicową, a także Bolesław Limanowski.

A.F. GRABSKI: — Który przecież świadomie budował pomost między tradycją demokratyczną polskiej myśli politycznej, między romantycznym a nowoczesnym socjalizmem i ideami walki polskiej klasy robotniczej. Bolesław Limanowski to cała epoka w polskiej myśli politycznej. Pamiętajmy, że urodził się on w 1835 roku, a umarł w 1935 roku. Pomost zbudowany przez niego w dziedzinie myśli politycznej między tradycją a nowoczesnością funkcjonował nie tylko w XIX wieku, ale i w XX wieku, i spełnił swoją rolę.

„ODGŁOSY”: — Myśl polityczna Wielkiej Emigracji była zróżnicowana i to nie tylko w ocenie przyczyn klęski, ale też w prognozowaniu przyszłości. Myśl ta musiała zwracać się ku przyszłości, celem emigracji było bowiem działanie na rzecz odrodzenia Polski, była walka o powstanie państwa polskiego. Jaka miała być ta Polska, o którą chcieli i walczyli różne emigracyjne ugrupowania?

A.F. GRABSKI: — Ci, którzy poszli na emigrację, poszli tam z nadzieją, że oni wrócą do Polski, aby walczyć o jej wolność. Ta świadomość zmuszała do myślenia o przyszłości, gdyż trzeba było odpowiedzieć na pytanie: o jaką Polskę będą walczyć? To zmuszało do snucia różnych koncepcji, tym bardziej, że emigranci mieli ogromną wolność słowa i niemożność jakiegokolwiek działania.

A. BARSZCZEWSKA: — Ale co było czynnikiem polaryzującym myśl polityczną Wielkiej Emigracji? Czy stosunek do przeszłości, czy ocena przyczyn klęski?

A.F. GRABSKI: — Wiara w rządy czy wiara w ludu decydowała o tym, jak działać. Wiara w rządy zakładała działanie dyplomatyczne. Wiara w lud — rewolucyjną. Wierzone przeciwieństwo — niepartyzantyzm, wierzone przeciwieństwo — nie może być wolności dla siebie, jeśli nie ma wolności dla innych. To określało stosunek emigrantów do Rosji. Czy dogadywać się z rządem, czy też stawiać na lud rosyjski, który uważano, że jest ze swej natury rewolucyjny.

A. BARSZCZEWSKA: — Mnie się wydaje, że ostateczna polaryzacja nastąpiła w wyniku nie krytyki tego, co było, ale przy ustalaniu koncepcji tego, co ma być.

A.F. GRABSKI: — Ale podstawą do formułowania koncepcji na przyszłość była krytyka tego, co jest i co było.

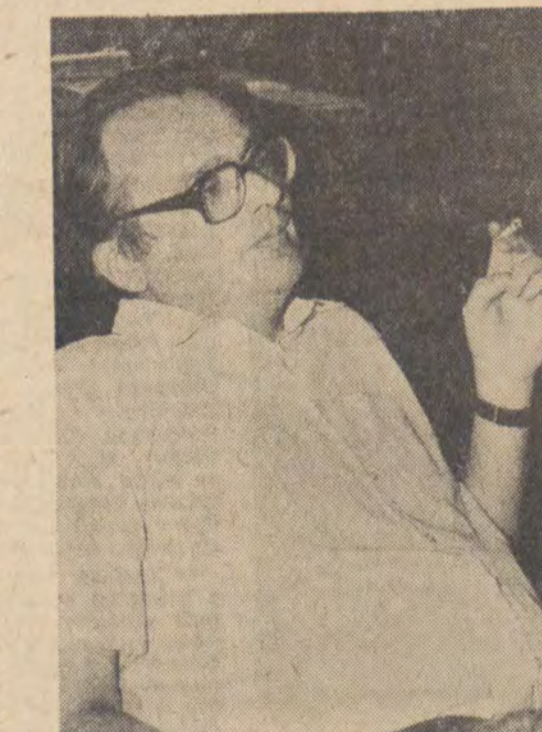
A. BARSZCZEWSKA: — Polaryzowały się też poglądy emigracyjnych działaczy w stosunku do ludu. Towarzystwo Demokratyczne Polskie miało na swych sztachetach wypisaną hasło: „Wszystko dla ludu przez lud”. Lud pojmowano wtedy bardzo szeroko, jako wszystkie warstwy społeczne, ale bez arystokracji i bogatego mieszczaństwa.

A.F. GRABSKI: — Jednak opozycja radykalna, która powstała w TDP, a która rekrutowała się ze środowiska podoficerskiego, rozumiała lud przede wszystkim jako chłopstwo i masy plebejskie.

A. BARSZCZEWSKA: — I jeszcze jeden czynnik, który różnicował poglądy różnych ugrupowań. To stosunek do chłopów i ziemi. Ugrupowanie liberalno-konserwatywne z Adama Czartoryskim na czele wysuwało nawet hasło uwłaszczenia chłopów za odszkodowaniem, ale na warunkach dogodnych dla szlachty, a było to w okresie, kiedy rozważano myśl wzniecenia powstania zbrojnego w kraju i trzeba było pozyskać chłopów.

Towarzystwo Demokratyczne Polskie stało na stanowisku nadania chłopom ziemi na własność zarówno tym, którzy ziemię uprawiali, jak i bezrolnym, później jednak nastąpiło odejście od tego i mówiono już tylko o nadaniu ziemi tym, którzy ją uprawiali.

W koncepcjach Gromad Ludu Polskiego ziemia miała być wspólną własnością, miała być wspólnie uprawiana, a owoce tej ziemi miały być wspólnie użytkowane. Wspólnie użytkowane dochody miały być przeznaczone na cele administracyjne, samorządowe, kulturalne i rozporządzać miała nimi gmina. Ta koncepcja znalazła odbicie w myśli politycznej m.in. Bolesława Limanowskiego.



Andrzej F. Grabski

A.F. GRABSKI: — W połowie XIX wieku, po latach 1846—1848 upadł mit o tym, że „ze szlachtą polską polski lud”. Upadek tego mitu ma istotne znaczenie dla dalszej polaryzacji myśli politycznej. Wielu różnych ludzi wywodzących się ze szlachty a działających w Towarzystwie Demokratycznym Polskim, wycofuje się ze swoich dotychczasowych poglądów. Zaczynają oni rozumieć lud jako groźny żywioł, jako wroga klasowego, który swój gniew gotów jest w pierwszym rzędzie skierować przeciw szlachcie. I uciekają oni albo pod skrzydła stronnictwa liberalno-konserwatywnego, albo do Galicji pod opiekuncze skrzydła dworu cesarsko-królewskiego. Osłabia się w ten sposób stronnictwo szlachecko-demokratyczne. Na swoich pozycjach zostaje tylko radykalna lewica, która nigdy nie wierzyla w możliwość sojuszu chłopów ze szlachtą. I ta radykalna lewica istnieje i działa do powstania nowoczesnego socjalizmu.

A. BARSZCZEWSKA: — Lecz pokolenie Powstania Styczniowego wiedziało już na pewno, że chłop nie chce wspólnej ziemi. Z tego na przykład zdał sobie sprawę ze zdumieniem Bolesław Limanowski, który po powstaniu znalazł się na Syberii i rozmawiał z chłopami powstańcami. Okazało się, że oni szli walczyć o własny kawałek ziemi i o zniesienie pańszczyzny.

A.F. GRABSKI: — Po powstaniu 1863 roku nie można było jednak pozostać w kręgu tych samych spraw. To nie było pierwsze nieudane powstanie, stał i przynębnienie, a także odwrót od wiary w możliwość zmniejszenia czegokolwiek drogą zbrojnego zrywu. Myśliciele tego okresu zwrócili się więc ku nowemu prawdom umysłowemu, ku pozytywizmowi. Pozytywistom nie można odmawiać ani patriotyzmu, ani umiłowania idei wolnościowych. Byli to realisci, którzy uważali, że dostaliśmy tyle razy po grzbiecie, że nie stać już narodu na ponoszenie dalszych ofiar, że trzeba szukać innych dróg działania w imię biologicznego i kulturalnego uratowania narodu. Nie odrzucali oni zupełnie idei przyszłej walki, wierzyli w nią i dążyli do niej, ale chcieli zbudować dla niej silne podstawy. Cel ten dokładnie ukrywano przed zaborcą i stał się później jego polemiką, odmawiającą pozytywistom poczucia patriotyzmu, które często polegały na fałszywym odczuciu źródła.

NASZA

Pozytywiści podjęli próbę zmodernizowania Polski w duchu burżuazyjnym, stworzenia przez to silnej podstawy dla realizacji przyszłych marzeń o niepodległości kraju. Co nie znaczy, że wśród pozytywistów nie było takich, którzy holdowali koncepcjom wyraźnie ugodywom. Postępowość pozytywizmu była wszakże ograniczona, gdyż na rodzącą się klasę robotniczą patrzone oczyma ideologów burżuazyjnych. Oczywiście ubolewano nad dolą robotnika, prowadzono ożywioną działalność dobroczynną, ale istoty konfliktów społecznych nie widzieli i nie chcieli widzieć. Takiego spojrzenia nie ustrzegł się nawet Bolesław Prus. Kiedy narodził się ruch robotniczy burżuazyjny charakter pozytywizmu ujawnił się w całej pełni.

W Galicji Stronnictwo Stańczyków głosiło inne nieco idee. Byli to lojaliści. Stawiali oni na Austrię, bo Austria nie niszczy polskości, bo w Austrii dokonuje się proces kształtowania się monarchii wielonarodowej, bo Austria liberalizuje się i powstaje możliwość autonomizacji Galicji, gdzie nie będzie przesładowania polskości, bo w Galicji bez przeszkód rozwija się polska kultura i sztuka. Była to koncepcja przeciwstawna pozytywizmowi i w gruncie rzeczy konserwatywna. Uważano bowiem, że nie ma żadnych kwestii społecznych do rozwiązania, gdyż chłopci zostali uwłaszczeni, a wszelkie żądania robotnicze są wytworem warholów. Była więc to opozycja przeciw nowym ruchom, jakie się rodziły, formowana z pozycji burżuazyjno-feudalnych.

„ODGŁOSY”: — Ale to nie były wszystkie ugrupowania tamtego czasu. Dokonywały się wówczas przewrótowania ideowe i polityczne. Powstawały nowe ruchy społeczne i polityczne. Narodził się na przykład ruch ludowy i ruch narodowo-demokratyczny. Ideologami tego ruchu też mieli koncepcje przyszłej Polski. No i wreszcie rozwijał się ruch robotniczy, w tonie którego powstawały różne koncepcje Polski, jaka miała powstać.

A.F. GRABSKI: — Popatrzmy zatem, jakie propozycje przyszłej Polski ujawniły się pod koniec XIX wieku. Pozytywizm proponował Polskę mieszczańską, Polskę obywateli. Stańczycy w Galicji proponowali Galicję, bo przecież nie całą Polskę, wiernie poddaną austriackiemu cesarzowi, zachowującą i utrwalającą feudalno-mieszczańską porządek. Z koncepcjami innej, nowej Polski wystąpił ruch narodowo-demokratyczny i miała to być Polska narodowa, będąca w opozycji zarówno do wizji Polski proponowanej przez ruch robotniczy, jak i do wizji Polski proponowanej przez ruch ludowy.

Nad wizją przyszłej Polski, jaką ukształtował ruch rewolucyjny zaciążyło przekonanie, że światowa rewolucja jest tuż tuż, że dokona się niemal jutro. Stąd brały się różnice między poszczególnymi ugrupowaniami ruchu robotniczego. Przyszła Polska była brana pod uwagę w programach całego ruchu robotniczego, tylko że niektórzy uważali, że problem jej niepodległości rozwiąże się sam, niejako automatycznie w wyniku rewolucji światowej.

A. BARSZCZEWSKA: — Warto może też pamiętać, że socjalizm w tamtych czasach stał się

idea bardzo atrakcyjną dla ludzi z różnych warstw społecznych, którzy byli przeciwni ówczesnym stosunkom społecznym i politycznym. Socjalizm stwarzał im możliwość działania, zakładał aktywność, która wynikała z walki o realizację idei, z dążenia do radykalnej przebudowy świata. Programy socjalistyczne były optymistyczne ze swej natury, bowiem nie tylko krytykowały to, co było, ale w swoich założeniach wybiegały daleko w przyszłość. Dlatego do socjalizmu gromili się ludzie, którzy wprawdzie nie wszystko w nim akceptowali, nie byli z tą ideą związani interesem klasowym, ale których pociągała możliwość działania. I ci ludzie najczęściej odchodzili od socjalizmu, kiedy zastrzeżenia się walczyli klasowa, kiedy narastała sytuacja rewolucyjna. Nim jednak do tego dochodziło, wywierali oni znaczny wpływ na kształtowanie wielu koncepcji, którym przeciwni byli ludźmi bardziej z klasą robotniczą związani, którzy inaczej pojmowali przyszłość.

A.F. GRABSKI: — Ale w tych koncepcjach przyszła Polska była to zawsze Polska robotniczo-chłopska, w której kierowniczą rolę miała sprawować klasa robotnicza. Ona dokonuje rewolucji przy poparciu innych uciśnionych warstw społecznych i następnie zyskuje ich poparcie dla stworzenia nowej władzy. Były to więc koncepcje oparte na zasadzie solidarności klasowej. Ideologowie narodowej demokracji odrzucali taką solidarność i zastępowali ją solidarnością narodową. Było to nastawienie antysocjalistyczne, które w konsekwencji zaprowadziło ideologów endecji do lojalizmu wobec zaborców.

Ruch ludowy natomiast, choć nie stał na gruncie walki klasowej w marksistowskim rozumieniu, wzywał przecież do walki z dziedzicem i proponował Polskę chłopską. Był to rezultat innego sposobu myślenia o przyszłości Polski, ale była to koncepcja bliższa koncepcji proletariackiej niż innym.

Tak więc w praktyce społecznej końca XIX wieku mamy do czynienia z dwiema siłami, które wywarły ogromny wpływ na dalsze losy naszego narodu.

S. BANASIAK: — W okresie Wielkiej Emigracji i późniejszym Polacy przebywający poza

kie były dogodne dla realizacji celów klasy robotniczej.

A. BARSZCZEWSKA: — Przy całym antysocjalistycznym nastawieniu pozytywistycznych programów.

S. BANASIAK: — Warto jeszcze zwrócić uwagę na inny element, który wpływał wówczas na rozwój myśli społecznej i politycznej. Była to walka z zaborcami. Uwidaczniało się to w niektórych koncepcjach PPS, a także w poglądach głoszonych w kręgach szlacheckich czy postępowej inteligencji. Było to pewne fetyszycowanie tej walki. Uważano, że Polacy, gdy staną się narodem niepodległym, suwerennym, stworzą wtedy doskonały ustrój wewnętrzny.

W myśli społecznej początku XX wieku w różnym stopniu uwewnętrzniały się trzy elementy. A więc wpływ na proces dziejowy, na rozwój społeczny w celu jego przyspieszenia, co wynika z założeń materializmu historycznego. Dążenie do wykorzystania wszystkich możliwości, aby przez rozwój gospodarczy, społeczny i kulturalny naród polski stał się silny i przodujący, co było założeniem pozytywizmu, ale zbiegało się też z dążeniami klasy robotniczej do stworzenia jakiegoś szerszego programu dla jej działania. I przekonanie, że naród polski w niepodległym państwie stworzy idealne warunki wewnętrzne.

Po pierwszej wojnie światowej w praktyce partii i klasy robotniczej na ziemiach polskich mamy wyraźne działanie rewolucyjne wyrażające się między innymi tworzeniem rad robotniczych. Oceniając to dzisiaj, z perspektywy czasu można powiedzieć, że stawiano sobie cele mało realne. Za mało zwracano uwagi na konieczność skupienia wokół swoich programów szerokiego rzesz społeczeństwa, a próbowano realizować niektóre cele, do realizacji których społeczeństwo jako całość nie było jeszcze przygotowane.

Przy ocenie tych wydarzeń warto pamiętać o ówczesnej sytuacji politycznej. Znaczna część ziem polskich była pod zaborem rosyjskim, ale w chwili, kiedy wybuchła rewolucja w Rosji ziemie te znajdowały się w rękach armii niemieckiej i austriackiej. Były odcięte od Rosji, izolowane. Poza tym w wyniku doświadczeń dwu polskich powstań wytworzyła się pewna niechęć do wszystkiego, co rosyjskie. Najbardziej rewolucyjnie i światło ugrupowania społeczeństwa polskiego właściwie zrozumiały znaczenie dokonującej się w Rosji rewolucji. Inaczej postrzekała to reszta. Dla nich były to zamieszki, jakie wybuchły w Rosji. Nie rozumieli oni, że były to narodziny nowego ustroju społecznego.

Jest jeszcze inny bardzo ważny element, który wpłynął na to, że nie można było zrealizować tych najbardziej rewolucyjnych celów, do jakich dążyła klasa robotnicza. Nie było trwałego sojuszu robotniczo-chłopskiego. Po pierwszej wojnie światowej ruch ludowy uległ wprawdzie radykalizacji, ale klasa robotnicza dość pragmatycznie formułowała swój program, a więc robiła to podobnie, dążąc do realizacji swoich interesów klasowych, ale bez rewolucyjnych rozwiązań w skali całego narodu.

A. BARSZCZEWSKA: — Radykalizacja ruchu chłopskiego zaczęła się już po Rewolucji 1905 roku. Po pierwszej wojnie światowej proces ten nasilił się. Ale to nie wyzwoliło tego ruchu z pragmatyzmu. Przeciwnie ruch ten próbował rozwiązywać swoje klasowe interesy na przykład tylko w Galicji, albo tylko w Królestwie Polskim. To przy całym postępującym radykalizmie było jego słabą stroną.

„ODGŁOSY”: — W tej sytuacji musiał zwyciężyć program burżuazyjny, który znalazł uznanie wśród różnych warstw społecznych.

S. BANASIAK: — Był to program najbardziej ogólny, a przez to uniwersalny.

„ODGŁOSY”: — Dla dużej części społeczeństwa ważne było, że jest Polska. Pytanie: jaka to będzie Polska, odsuwało się niejako na dalszy plan. Dalo znać o sobie przekonanie, że jak już będzie upragniona Polska, to będzie to Polska najlepsza dla wszystkich. Rozczarowanie przyszło później.

S. BANASIAK: — Program burżuazji w jakimś stopniu odpowiadał oczekiwaniom wszystkich warstw społecznych. Zapowiadał państwo niepodległe, gospodarkę opartą na prywatnych stosunkach własności, zapowiadał reformę rolną, której realizacja w bardzo okrojonej formie została niejako wymuszona, a poza tym

program ten zapowiadał cały szereg reform burżuazyjno-demokratycznych. To w tamtych warunkach, dla wielu kręgów społeczeństwa nieorientowanego do końca w dziejących się procesach historycznych, mogło się podobać i podobało się.

Nie zapominajmy, że burżuazja przez długi czas kokietała masę ludową, powołując się na przykład na urząd premiera Wincentego Witosa, który był wójt, miał gospodarstwo i je uprawiał. Znacznie później burżuazja ujawniła klasowy charakter swego postępowania.

Nim się jednak to stało uchwalono w Polsce bardzo postępową, jak na ówczesne czasy konstytucję. Stwarzała ona równość prawną obywateli niezależnie od poci, wyznania i narodowości, gwarantowała wiele różnych swobód demokratycznych. Przynajmniej w teorii. W praktyce państwa polskiego różnie z tym było. Twórcy tej konstytucji wywołali jednak wszystko, co było postępowe w Europie i usiłowali wprowadzić to do Polski. Był to niewątpliwie wpływ emigracji politycznej, tych ugrupowań, które tworzyły koncepcje przyszłej Polski poza Polską, a które mogły do tych koncepcji wnieść wszystko to, co było w zachodniej Europie najlepszym.

A.F. GRABSKI: — Z wyjątkiem emigracji ze Stanów Zjednoczonych, gdyż była to emigracja innego rodzaju, emigracja zarobkowa. I oczywiście udało się przejąć najwartościowsze zdobycze zachodnich demokracji, ale w realizacji tych pięknych postanowień wystąpiły klasowe przeszkody i zahamowania.

S. BANASIAK: — Sytuacja wewnętrzna w Polsce zmieniała się w latach trzydziestych. Zdecydowały o tym przede wszystkim doświadczenia wielkiego kryzysu gospodarczego, który dotknął najsilniej klasę robotniczą, chłopstwo oraz znaczne kręgi inteligencji. To zmusiło do zastanowienia się nad niedoskonałością ustroju, który nie potrafił zapobiec kryzysowi. Z rocznika statystycznego opublikowanego już po kryzysie wynika niezbicie, że jeśli patrzeć na liczbę ukazującą recesję ówczesnego świata liczone bez Związku Radzieckiego, to była ona wyraźnie większa, aniżeli gdybyśmy mogli sądzić na podstawie statystyk, obejmujących cały świat razem z Krajem Rad. Gospodarka Związku Radzieckiego, choć miała niską bazę wyjściową i musiała pokonywać liczne trudności w latach kryzysu, wykazywała dynamiczny rozwój i to wpływało w sposób zdecydowany na obraz sytuacji gospodarczej świata. Nie przeceniam wpływu tych danych na społeczną świadomość ówczesnej Polski, bo przy tamtym stanie



Stefan Banasiak

oświaty i informacji nie wszyscy mogli być w tym zorientowani, to przecież w kręgach bardziej dojrzałej inteligencji musiało dojść do uświadomienia, że w Rosji narodził się ustrój, który przynajmniej w działaniu gospodarczym wykazuje przewagę.

Poza tym na zmianę sytuacji w Polsce wpłynęło też dojście Hitlera do władzy.

A.F. GRABSKI: — Republika Weimarska też nie prowadziła polityki sprzyjającej Polsce.

S. BANASIAK: — Tak, ale postępowanie Hitlera w sprawie Nadrenii, Austrii i Czechosłowacji wskazywało, że Polska staje się coraz bardziej zagrożona przez Niemcy i to wpływało na konsolidację społeczeństwa.

W latach trzydziestych wyraźnie ujawniło się uwstecznienie ustroju burżuazyjnego w Polsce. Uwidoczniało się to w pomniejszeniu roli parlamentu, w uchwaleniu nowej konstytucji, która była przecież dużym krokiem wstecz w

porównaniu do konstytucji poprzedniej. Uwidoczniało się to życiu gospodarczym i społecznym.

Wtedy też pojawiły się dwa czynniki konstruktywne, dzięki którym proces dziejowy mógł rozwijać się w kierunku Polski ludowej. Podjęto działania zmierzające do stworzenia jednolitej klasy robotniczej. Widać to w postępowaniu KPP i PPS, ale dzieje się tak również w partiach narodowościowych, a także w związkach zawodowych. Do tej pory nigdy nie było tylu i tak szeroko — jak na ówczesne warunki — zakrojonych wspólnie podejmowanych wystąpień.

A obok tego kształtował się front ludowy, którego inicjatorem i trzonem była klasa robotnicza. Klasa robotnicza występując pod hasłem przeciwstawiania się zagrożeniu ze strony faszyzmu zdołała pozyskać różne ugrupowania robotnicze, radykalny ruch ludowy oraz środowiska inteligencji, drobnomieszczańskie, a nawet pewne kręgi burżuazji.

A.F. GRABSKI: — Był to proces, który wówczas dokonywał się w całej Europie, kiedy lewica podjęła walkę z faszyzmem.

S. BANASIAK: — W konsekwencji tych przemian nastąpiła ewolucja pojęcia Polski ludowej. Nie jest to już pojęcie Polski ludzi pozbawionych praw, którym niezbędna jest opieka szlachetnie nastawionej inteligencji czy też szlachty, co było charakterystyczne dla koncepcji z XIX wieku. Jest to już wizja nowego państwa demokratycznego, nowoczesnego, w którym wpływ na sprawy polityczne będzie miała większość społeczeństwa.

„ODGŁOSY”: — W polskiej myśli społecznej powstała zatem nowa jakość, która miała zasadniczy wpływ na rozwój sytuacji już po wybuchu drugiej wojny światowej, kiedy Polska straciła niepodległość i kiedy postawiono sobie dwa pytania: dlaczego tak się stało i jak ma być odrodzona Polska?

A.F. GRABSKI: — Miało to niewątpliwie wpływ na radykalizację nastrojów w czasie okupacji i decydujący wpływ na program PPR, który nawiązywał do najlepszych tradycji polskiego ruchu robotniczego i całej polskiej lewicy właśnie w imię interesów całego narodu. Wizja przyszłej Polski, jaką proponowała narodowi PPR, była wizją Polski robotników i chłopów, i jednocześnie Polski wszystkich Polaków, gdzie nie było antytezy między jednym a drugim, tylko dialektyczna synteza i związek. Była to wizja Polski, która urzeczywistniłaby przez minione 35 lat i urzeczywistniłaby nadal. Ta wizja ma olbrzymią historyczną genealogię i wszystkie historyczne przesłanki, o których tutaj mówiliśmy uwarunkowały sukces tej wizji, jej realizację. To, co najpierw było szczytną ideą, a później stało się mniej lub bardziej realistycznym programem, celem konkretnego działania mogło w Polsce Ludowej stać się rzeczywistością.

S. BANASIAK: — Jeśli uważnie przyjrzyć się rozwojowi polskiej myśli politycznej i społecznej to wyraźnie widać jak ewoluowała ona od rozstrzygnięć wąskich, partykularnych, mających na uwadze tylko interes jednej klasy do rozstrzygnięć uniwersalnych. Można to też prześledzić w rozwoju myśli politycznej rewolucyjnego ruchu robotniczego, kiedy dokonuje się ewolucja od idei rewolucji czysto proletariackiej, biorącej pod uwagę interesy tylko robotników do idei rewolucji biorącej pod uwagę interesy wszystkich grup społecznych. Również w ruchu ludowym, socjalistycznym i innych szuka się tego, co wspólne, co łączy, dążąc też do pewnej uniwersalizacji programów, ale dokonuje się to z różnymi zahamowaniami.

Rewolucje, jakie dokonały się w połowie XX wieku wykazywały zbieżność walki narodowo-wyzwoleńczej z walką społeczną. Jest to wynik owej dążności do uniwersalizacji programów. Ruch robotniczy działający w interesie całego narodu kojarzy umiejętnie program walki o suwerenność narodową z programem walki o interesy klasowe. Połączenie tych dwóch czynników w jeden program spowodowało taką siłę, której burżuazja nie była już w stanie się oprzeć ani przeciwstawiać temu żadnego innego programu, który mógłby porwać masę ludową do walki pod jej kierownictwem. I to jest ogólna prawidłowość wszystkich ruchów społecznych połowy XX wieku. To, co się dokonało w Polsce w latach okupacji i po wojnie jest typowe dla ruchów rewolucyjnych naszego okresu, a specyficzne jest tylko w szczegółach.

„ODGŁOSY”: — W Polsce Ludowej urzeczywistniły się idee wielu pokoleń, których celem i marzeniem była Polska sprawiedliwości społecznej, Polska wszystkich Polaków.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

GENEALOGIA

krajem mieli dużą swobodę w tworzeniu różnych koncepcji wolnościowych i społecznych, a to dlatego, że zwrócone one były ku Polsce i nie ingerowały w wewnętrzne sprawy tych krajów, w których przebywali ich twórcy i wyznawcy. Ugrupowania te — jak tu już było powiedziane — nie miały natomiast możliwości działania. Wszystko więc rozgrywało się na płaszczyźnie życzeń, rozważań teoretycznych. Natomiast pod koniec XIX wieku i na początku XX wieku zmienia się sytuacja. Rodzi się poczucie odpowiedzialności za wykorzystanie historycznej szansy i jest ono coraz silniejsze w miarę postępu czasu. W wyniku popowstańskich dyskusji tworzą różne wizje i koncepcje, które nie miały szans realizacji. Natomiast na początku XX wieku, po pierwszej wojnie światowej coraz wyraźniej rysuje się odpowiedzialność za wykorzystanie szans historycznej, a warunki dla jej urzeczywistnienia powstają dopiero w połowie XX stulecia.

„ODGŁOSY”: — Jest to niewątpliwie wynik powstania ruchu robotniczego. Zakładano wówczas, że wybuch rewolucji w jednym kraju pociągnie za sobą rewolucję w innych. A zatem potrzebne było takie działanie, które umożliwiłoby realizację tego zamierzenia.

S. BANASIAK: — Materializm historyczny wychodzi z założenia, że pewne procesy dokonujące się w sferze produkcji rzutują na świadomość społeczeństwa, ale może to ciągnąć się wiekami, jeśli siły społeczne, w interesie których rozwój ten dokonuje się, nie wykorzystają różnych szans, aby go przyspieszyć. A więc jest to niewątpliwie wynik powstania ruchu robotniczego, wpływ jego ideologii, która wyzwalała te siły społeczne, które w swej świadomości mogły ukształtować poczucie odpowiedzialności za historyczny rozwój narodu.

A.F. GRABSKI: — W Polsce ideologia ta zrazu odbierana była przede wszystkim jako doktryna teoretyczna, choć miała ona przecież swoje odniesienie do praktyki na zachodzie Europy. Inna tu była bowiem sytuacja społeczna. I marksizm w Polsce przez długi czas oddziaływał bardziej jako inspiracja teoretyczna niż praktyczna.

S. BANASIAK: — Obok walki proletariatu, a więc walki klasowej, do której pozyskiwano sojuszników wśród chłopstwa i inteligencji, rozwijał się w tym czasie drugi nurt walki, a mianowicie walki ekonomicznej. Był to nurt w zasadzie burżuazyjny, choć nie był on obcy całemu społeczeństwu. Skoro w warunkach zaborców nie można było decydować o swoim losie, to należało wykorzystywać te szanse ekonomiczne, kulturalne, oświatowe, naukowe, które umożliwiłyby przodowanie w tej części Europy.

I tu występuje pewna zbieżność takiego działania z walką proletariatu. W koncepcji marksistowskiej rozwój produkcji rodzi klasę robotniczą jako siłę społeczną, a im liczniejsza klasa robotnicza, tym są większe szanse dla rewolucji. Pozytywnym natomiast, choć zdążył do innego celu, to stwarzał takie warunki materialnego rozwoju gospodarczego i społecznego, ja-

Gwałtowny przyrost liczby mieszkań. W Ziemi oraz ograniczone zasoby żywności i energii zmuszają ludzkość do skierowania uwagi na szelf kontynentalny. Ogromne przestrzenie tego szelfu, równego powierzchni Europy i Ameryki Południowej razem wziętych, kryją 90 proc. światowych zasobów ryb i, być może, nie mniej ogromne zasoby ropy i gazu.

Wydobyć stamtąd tę żywność i energię nie jest oczywiście łatwo, ale koszt traci znaczenie w miarę tego, jak obszary, które atakują człowieka na lądzie, kurczą się coraz bardziej. Konieczność zmusza go do pogrążania się w morzu coraz głębiej i z coraz większą pasją. Nowych źródeł energii — poza tymi,

widzenia jest wątpliwe, czy jakiegokolwiek inne surowce mogą się z nimi równać. Drugim co do znaczenia surowcem jest niezwyklejszy budulcowy piasek i żwir, które wydobywa się na wschodnim wybrzeżu USA i w przybrzeżnych wodach Wielkiej Brytanii. Na wybrzeżach Tajlandii wydobywa się cynę, w akwenie Nowej Szkocji — węgiel itd. Ogólna wartość wszystkich użytecznych surowców wydobytych z szelfu w ubiegłym roku sięga ponad 70 miliardów dolarów! Niemal cała ta suma przypada na ropy i gaz, przewyższając blisko 4-krotnie wartość złowionych ryb. Ta dysproporcja będzie rosła w miarę tego, jak ludzie będą odkrywać w szelfie coraz to nowe pokłady ropy. Znaczący przedmiot są zdania, iż przyszłość światowego przemysłu naftowego leży pod wodą. Na lądzie nie uda się już znaleźć drugiego Bliskiego Wschodu. Dziś można budować szyby naftowe na głębokości 1800 metrów pod powierzchnią oceanów, a wywiad sejsmiczny o wiele lepiej prowadzi się w wodzie niż na ziemi.

zwraca atmosferze. Właśnie dlatego klimat w strefach przybrzeżnych jest łagodniejszy, niż w głębi kontynentu.

Światło słoneczne może przenikać do głębokości ponad 300 metrów w czystej wodzie morskiej, ale już na głębokości 90—120 metrów zaczyna go nie starczać dla aktywnej wegetacji roślin. Łańcuch życia w morzu zaczyna się od fitoplanktonu, najdrobniejszych roślin, rozwijających się w płytkich wodach szelfu kontynentalnego. W tym zielono-blekitnym skrzypie się środowisku, skapane w odżywczych solach morza, mikroskopijne roślinki tworzą każdego dnia cud fotosyntezy. Dzięki nie całkiem jeszcze wyjaśnionemu procesowi, przekształcają one energię, którą emanuje dalekie słońce, w energię chemiczną związków węglowodanów. Fitoplankton stanowi pożywnie zooplanktonu, a zooplankton zjadają większe skorupiaki i ryby. A te z kolei stanowią pożywnie człowieka. Można więc człowieka i inne zwierzęta nazwać obrazowo heliofagami — pożeraczami słońca —

planktonu potrzeba dziesiątków kilogramów fitoplanktonu — mikroskopijnych roślin morskich. Z 10 kilogramów zooplanktonu tworzy się jeden kilogram narybku lub skorupiaków, a z 10 kilogramów narybku „powstaje” jeden kilogram ryby, która trafia na nasze stoły...

Logika tej drogi od gwiazdy do żołądka jest prosta. Przyszłość leży w racjonalnej eksploatacji i reprodukcji bogactw oceanów, a nie w niszczeniu bogatego świata ryb.

Co byśmy jednak nie robili — łowili ryby czy hodowali — potrzebna jest do tego czysta woda. Przyroda sama daje sobie radę z większą częścią zanieczyszczeń naturalnych, jednak współczesny człowiek dodaje do nich mnóstwo trujących odpadów: kwas siarkowy, śmiertelnie niebezpieczne metale, insektycydy, naftę. Na przykład w gęsto zaludnionej strefie wzdłuż atlantyckiego wybrzeża USA, od stanu New Hampshire do Virginii mieszka około 10 procent ludności całego kraju. To największe w świecie skupisko miast odprowadza każdego roku do czystego nie-

Z PRASY

Tajną służbę w USA stworzono w 1865 roku, jako wydział ministerstwa finansów do walki z fałszerzami pieniędzy. Nie miała ona nie wspólnego z ochroną głowy państwa aż do zabójstwa w 1901 roku prezydenta Stanów Zjednoczonych Williama McKinleya. Ale dopiero po 50 latach, kiedy odkryto spisek na życie prezydenta Harry Trumana, Kongres USA oficjalnie włączył do działalności tajnej służby ochronę głowy państwa.

Po zabójstwie prezydenta Johna Kennedy'ego liczba agentów tajnej służby wzrosła z 350 do 1600 osób, nie licząc 900 pracowników w uniormach policjantów, chroniących Białe Domy, ambasady obcych państw i inne zagraniczne przedstawicielstwa. Analiza budżetu tajnej służby (133 miliony dolarów) wskazuje, że ochrona prezydenta i wyższych urzędników rządu kosztuje co najmniej 65 milionów dolarów rocznie. Wśród innych funkcji tego resortu należy wymienić także, jak: ochrona kandydatów na stanowiska — prezydenta i wiceprezydenta (co w czasie kampanii przedwyborczej w 1976 roku kosztowało ponad 16 milionów dolarów), ochrona głów państw obcych, przebywających z wizytą w USA, a także ponad 400 ambasad i przedstawicielstw obcych państw w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

Ostatnimi laty również w Białym Domu podjęto szereg kroków w celu zwiększenia bezpieczeństwa. Przede wszystkim wzmocniono bramy wjazdowe, po tym, jak dwukrotnie staranowali je pechowi automobilści. Wszystkich interesantów i urzędników Białego Dому, z najwyższymi osobistościami włącznie, zobowiązano do stałego noszenia na ubraniu znaczków identyfikacyjnych. Tajna służba posiada akta 38 tysięcy osób podejrzanych, które zakwalifikowano jako potencjalnych zabójców. Tylko w ciągu jednego roku (od października 1976 r. do października 1977 r.) agencji tajnej służby, na podstawie zebranych informacji, przeprowadziła 14,623 śledztwa prewencyjne, z których 225 zakończyło się aresztowaniem osób, podejrzanych o udział w porwaniu ludzi.

„US News nad World Report” — Waszyngton

Niedawno na Filipinach odkryto nie znane dotąd plemię pierwotnych ludzi, zdomowane w kraterze wulkanu, otoczonego niedostępną dżunglą. Krater znajduje się na niewielkiej wyspie, górzystej i pokrytej głębokimi rozpadlinami i szczelinami skalnymi. Plemię, nazywające siebie Taotabato — „Kamieniami ludźmi”, przebywa we wnętrzu krateru, w pieczarach rozrzuconych na różnych poziomach. Mężczyźni i kobiety noszą opaski na biodrach z wyprawionej kory drzew. Plemię liczy około 30 rodzin i zajmuje się prymitywną uprawą ziemi, wodę czerpie z potoków, które wyciekają z ogromnej pieczary. Taotabato znają ogień. Obecnie, uczeni studiują zwyczaje, warunki życia, pracę i obrzędy tego zagadkowego plemienia.

„International Herald Tribune” — Paryż

przyniosły one „dobre rezultaty”. Żadne szczegóły nie będą jednak podane „dla dobra dalszych negocjacji”. Wiadomo, że prezydent Egiptu i premier Izraela rozmawiali m. in. o przyznaniu Palestyńczykom autonomii. Agencje zachodnie podają, iż Begin miał poczynić drobne ustępstwa, aby nieco udobruchać Sadatą, zrywanego brakiem wadocnych postępców. Na czym polegały wspomniane ustępstwa — nie wiemy. Wiemy natomiast, że wciąż są to półśrodki, które nie mogą zadowolić Palestyńczyków. Ponadto dyskusje toczą się bez udziału bezpośrednio zainteresowanych.

Niebawem ma się odbyć spotkanie na szczycie szefów państw i rządów Organizacji Jedności Afrykańskiej. W ub. tygodniu trwała sesja Rady Ministerialnej tej organizacji, przygotowująca szczyt. I tam właśnie raz jeszcze stwierdzono, że Palestyńczycy mają prawo do samookreślenia i stworzenia własnego, niezależnego państwa. Mówiono również, że Organizacja Wyzwolenia Palestyny powinna odegrać aktywną rolę przy określaniu przyszłości ludności palestyńskiej. Interesy narodów, zamieszkujących Bliski Wschód, wymagają globalnego uregulowania konfliktu, a układ egipsko-izraelski ma charakter separatystyczny i nie może oczywiście spełnić tych warunków.

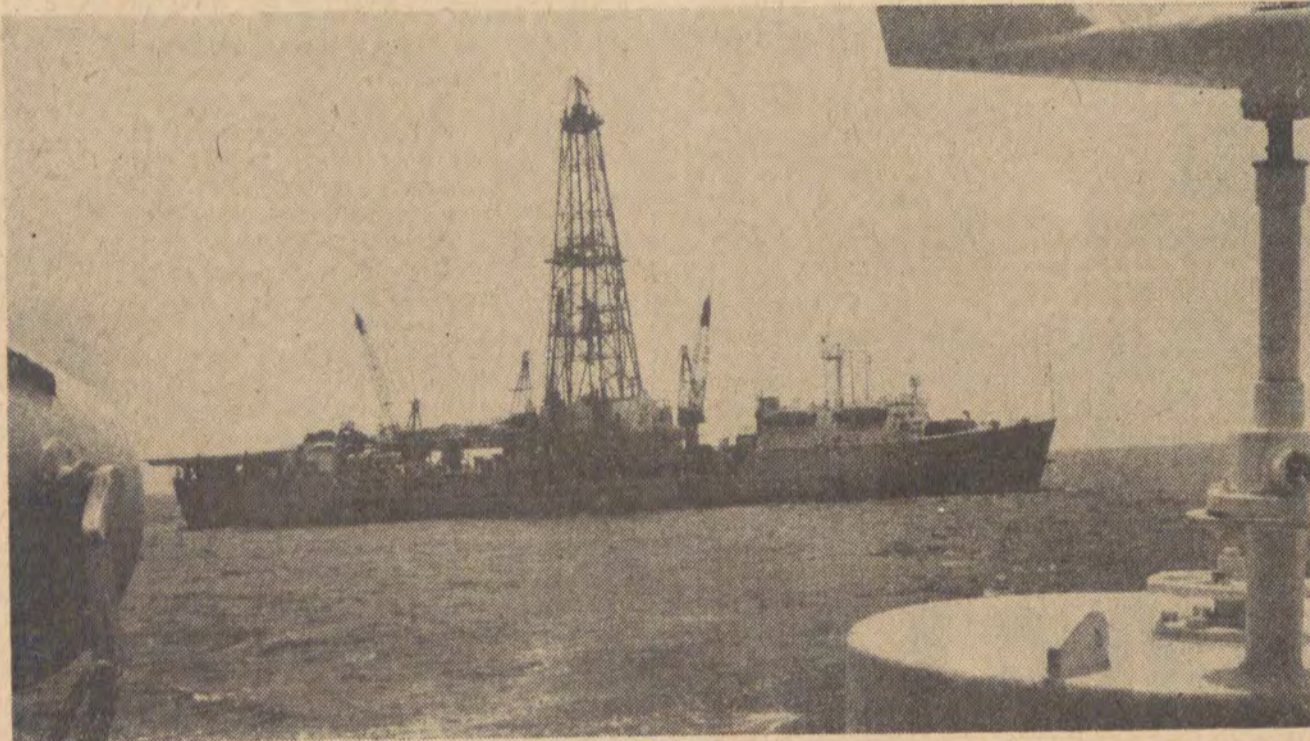
W. SŁAWSKI

ŻYCIE Z GWIAZDY

które już znamy — nie ma. Niezależnie od tego, jakie one są — słońce, wiatr, woda, węgiel czy atom — można tylko poszukiwać nowych sposobów ich wykorzystania, lub penetrować dalsze, nie wykryte jeszcze zapasy tych nośników energetycznych. W tych poszukiwaniach szelf kontynentalny wabi ludzkość, jak niegdyś nowy świat nęcił wyprawę odkrywców. Nie bacząc na mnóstwo niebezpieczeństw, znanych i nieznanych, ludzkość będzie nieustannie iść do przodu.

Szelf kontynentalny jest to zalany przez morze płaski (o małych spadkach) obszar na obwodzie bloku kontynentalnego, rozciągający się do głębokości średnio około 200 m. Od strony otwartego morza jest on ograniczony krawędzią, za którą dno opada już stromiej, stanowiąc skłon szelfowy o nachyleniu nieraz do 15 stopni. Genetycznie, szelf jest zanurzona częścią bloku kontynentalnego. Dodajmy jeszcze, iż poza owym skłonem następują głębiny do kilku tysięcy metrów. Geologowie uważają, że kontynenty są masą lekką — jeśli oczywiście granit można nazwać lekkim — skały, pokrywającej bardziej ciężki bazalt. Mniej więcej 200 milionów lat temu, w pierwotnym oceanie rozciągała się tylko jedna, ogromna masa lądu. W przybliżeniu 180 lat temu ów prakontynent zaczął się rozdrabniać na części i oddzieliły się od niego: Afryka, Ameryka Południowa, a później także Europa.

Dwa najważniejsze surowce, które kryje w swym wnętrzu szelf, to ropa i gaz. Z ekonomicznego punktu



I tak oto człowiek zanurzył się w głębiny morskie, penetrując podwodne krainy kontynentu, żeby wydobywać paliwo, ale jego pierwszą i najważniejszą potrzebą jest i będzie pożywienie. Od pierwszych dni odkrycia Ameryki Północnej kontynent ten oznaczał dla Europejczyków m.in., także ryby. Nasuwa się pytanie, dlaczego najwięcej ryb łowi się w rejonie szelfu kontynentalnego? Odpowiedź jest prosta: światło.

Ludzie, stworzeni przez słońce, są uzależnieni od jego promieni. Prawie trzy czwarte ziemi — Blekitnej Planety pokrywa woda, dlatego też większą część energii słonecznej docierającej do powierzchni Ziemi absorbują morza. Ocean jest potężnym „magazynem” ciepła słonecznego, który je wchłania i powoli

zjadającymi codziennie i spalającymi energię, która przychodzi z gwiazdy.

Wszystkie ryby morskie żyją albo na samym dnie morza, jak na przykład dorsz, albo przebywają w powierzchniowych warstwach, jak na przykład tuńczyk. Ale i te i tamte są przywiązane do strefy szelfu, gdzie płytkie wody bogate w substancje odżywcze, zapewniają im dostateczną ilość pożywienia. Najbardziej rozpowszechnioną rybą jest bez wątpienia śledź i pokrewne mu sardelki, sardynki itp., których w Oceanie Spokojnym są miliardy. Niektóre z nich, jak np. „ręcznik” śledź, stale żyją w morzu, ale na tario przenoszą się do rzek, jak łosoś. Przed uczonymi stoi nadal zagadka do rozwiązania: w jaki sposób ta ryba, składająca się z mięsa i tłuszczu, skądinąd bardzo smaczna i poszukiwana, odnajduje drogę powrotną do swoich rodzinnych rzek z otwartego morza. Przypuszcza się, iż kieruje nią powonienie lub doznania smakowe. Kiedy płynie na tario i „wywachu” rodzinnej rzeki, gromadzi się na płytkich wodach, dla rybaków nastają „dni tłuste”.

Na problemy połowów rybackich należy spojrzeć szerzej. Fachowcy utrzymują, iż przemysł rybny trwoni bogactwa morza. Nie jadamy ani łwów, ani tygrysów, ani innych drapieżników, na które polujemy. Jemy natomiast, to, co stanowi ich zdobycz — zwierzęta trawożne, które zresztą sami hodujemy. Na lądzie człowiek nauczył się tego 10 tysięcy lat temu. Zjadając jeden kilogram ryby, zjadamy tysiąc, jeśli nie więcej, kilogramów masy roślinnej. Dla reprodukcji jednego kilograma zoo-

gdyś oceanu około 14 milionów ton odpadów. Tylko w ciągu życia jednego pokolenia, w Zatoce Nowego Jorku nalożyło się ich tyle, że dno zatoki na powierzchni 21 km kwadratowych podniosło się o ponad 10 metrów! Takie zanieczyszczenie już samo w sobie jest wystarczająco groźne, powoduje jednak mniej niebezpieczeństw niż zanieczyszczenie morskich wód przybrzeżnych w wyniku spływu zanieczyszczonych rzek. Ocean i morza, pokrywające niemal trzy czwarte naszej planety, bez skargi, a w ostatnich czasach również bez śladu, ukrywały pod powierzchnią swoich wód wszystkie nasze odpady, ale teraz i one zaczynają już protestować.

A człowiek nadal zatruwa systematycznie rzeki i zanieczyszcza morza i oceany. Resztki nawozów sztucznych trafiają do rzek, które przenoszą je do mórz. Pochodne ołowiu, wyrzucane w atmosferę w ogromnych ilościach z kominów fabrycznych i wydechowych rur samochodów, osiadają na jezdnich i zmywane deszczem też w końcu trafiają do oceanów świata. Można by przytoczyć tysiące takich przykładów. Poza tym zanieczyszczenie atmosfery jest tylko pośrednim stadium zanieczyszczenia wody. Jak informuje amerykański tygodnik „National Geographic”, eksperci podają przerażającą liczbę: w ciągu ostatniego 20-lecia ilość żywych organizmów w oceanach zmniejszyła się co najmniej o 20—30 proc.

JERZY CZECH



Wielekroć piszemy na tym miejscu o zagrożeniu rozbrojenia. Stwierdziliśmy już niejednokrotnie, że obecnie nie ma ważniejszego problemu niż zahamowanie wyścigu zbrojeń. Nowych argumentów w tej sprawie dostarcza, uznany za obiektywny, rocznik Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem, zatytułowany: Światowe Zbrojenia i Rozbrojenie 1979. Dowiadujemy się z tej publikacji, że obecnie roczne wydatki na zbrojenia wynoszą 410 mld dolarów, — tj. ok. 1 mln dol. na minutę. Stan zaś zapasów broni jest tego rzędu, iż w przecięciu na statystycznego mieszkańca globu wynosi... 3 tony konwencjonalnego materiału wybuchowego. Nie trzeba mieć dużej wyobraźni, aby zrozumieć ile razy można by przy pomocy obecnych, pekających w szwach, arsenałów zniszczyć całkowicie życie na Ziemi.

Tym większe ma znaczenie każda inicjatywa, zmierzająca w najogólniejszym sensie do rozbrojenia.

Jednym z forum międzynarodowych rokowań jest genewski Komitet Rozbrojeniowy. W minionym tygodniu ZSRR i USA przedłożyły tamże tekst porozumienia w sprawie zasadniczych elementów układu o zakazie projektowania, produkcji, gromadzenia i stosowania broni radiologicznej. Realizację tej inicjatywy zapowiedział wiedeński komunikat z rozmów L. Breżniewa i J. Cartera.

Szybki rozwój techniki jądrowej daje o sobie znać w produkcji, przetwarzaniu i obrocie materiałami promieniotwórczymi. Mogą one być wykorzystane w celach militarnych. Stąd wysoka aktualność wspólnej radziecko-amerykańskiej propozycji. Projekt został wyprac-

KRONIKA TYGODNIA

wany w toku dwustronnych rokowań genewskich na temat zakazu rozwijania i produkcji nowych rodzajów oraz systemów broni masowej zagłady.

W debacie generalnej w Komitecie Rozbrojeniowym przedstawiciel Polski podkreślił, iż uzgodnienie międzynarodowego porozumienia będzie znaczącym wkładem w proces rozwoju bezpieczeństwa świata.

Tymczasem w komisji zagranicznej amerykańskiego Senatu trwają przesłuchania w sprawie układu SALT II. Decydujący moment, jak można orientować się z kalendarza prac, przypadnie na październik lub nawet na listopad. Ostatnie sondaże amerykańskiej opinii publicznej wskazują, że 80 proc. społeczeństwa opowiada się jednoznacznie za ratyfikacją układu.

W kolejności poświęćmy nieco uwagi kontynuacji polsko-amerykańskiego dialogu, tym razem prowadzonego w Stanach Zjednoczonych przez min. E. Wojtaszkę.

W wypowiedzi po zakończeniu rozmów polski minister podkreślił, że dotyczyły one za-

równy najważniejszych problemów międzynarodowych, jak i stosunków dwustronnych. „Mówiliśmy o konieczności utrwalenia procesu odprężenia, o nieodzowności zakończenia wyścigu zbrojeń i o rozbrojeniu”. Radziecko-amerykański układ SALT II jest najbardziej logiczną drogą, prowadzącą do tego celu.

W toku swych waszyngtońskich rozmów min. Wojtaszka nawiązał także do pakietu propozycji krajów socjalistycznych, wysuniętych na budapeszteńskiej sesji komitetu ministrów Spraw Zagranicznych państw socjalistycznych.

Przenieśmy się teraz na Bliski Wschód. W Aleksandrii zakończyły się trzydniowe rozmowy prezydenta Sadat i premiera Begin. Nie miały one podobno charakteru negocjacji i nie oczekiwano po nich żadnych konkretnych decyzji. Rzecznicy obu stron oświadczyli, że

Z pełną świadomością nie pojechałem w ubiegłym roku do Opola — obejrzałem tylko transmisję telewizyjną i właściwie nie żałuję, bo siedząc w tym roku w opolskim amfiteatrze miałem na wszystko, co się tam działo, nieco ostrzejsze spojrzenie.

Gościnni organizatorzy opolskiego festiwalu, którzy z takim upodobaniem określają swoje miasto mianem „stolicy polskiej piosenki” i tym razem zarezerwowali nam pokoje w studenckim hotelu „Kmicie”. Zresztą starali się rozpieszczać dziennikarzy na różne sposoby: a to organizując spotkanie w „Musiolówce” (nazwa pochodzi od nazwiska prezesa Towarzystwa Przyjaciół Opola — Karola Musioly, którego Andrzej Rosiewicz obdarzył publicznie imieniem „ojca chrzestnego” całej imprezy), a to obwoząc nas autokarem po pięknych zakątkach Ziemi Opolskiej. Tak to w atmosferze wszelkiego dostatku mieliśmy okazję przysłuchiwać się polskiej piosence.

SZANUJMY WSPOMNIENIA

Ogólny kształt XVII Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki opierał się na słusznej idei przypomnienia największych polskich przebojów minionego trzydziestopięcioletnia. O tym że wyjątkowo trudna była selekcja tych utworów mówiło się niejednokrotnie, a potwierdził to fakt rezygnacji z ustalenia zestawu tzw. „złotej dziesiątki”, co było pomysłem właściwym. Słuchając „Piosenki o mojej Warszawie”, utworów „Szepcie” czy „Powróć się tu” przekonaliśmy się, że ta nasza polska piosenka wcale tak bardzo nam się nie zestarzała. A jeżeli nawet, to raczej w ostatnim dziesięcioleciu mieliśmy

wni muzyka „Czerwonych Gitar”. Zresztą w ogóle twórczość Seweryna Krajewskiego zarówno w jego wykonaniu, jak i prezentowana przez innych (Maryla Rodowicz) ma ogromne rzesze zwolenników.

Również, występująca już w roli starszej pani, Maria Koterbska śpiewała znakomicie technicznie, lecz nie była chyba w najlepszej dyspozycji głosowej.

Interesującą aranzacją „Powróć się tu” popisał się kompozytor tego utworu Piotr Figiel, zresztą to jeden z moich ulubionych szlagierów i jeden z najwybitniejszych tekstów Janusza Kondratowicza. Oczywiście, program otworzył nestor polskich piosenkarzy — Mieczysław Fogg,

zupelnie nie odpowiadał przebiegowi estradowych zmagani. Mam tutaj na myśli przede wszystkim przyznanie jednej z dwóch drugich nagród (i nie przyznano w ogóle) Zbigniewowi Książkowi, który próbował wraz z Mirosławą Poślad (sympatyczna i sceniczną dziewczyna, może będzie z niej dobra piosenkarka) wyśpiewać „Piosenkę dla Graszki”. To czyste nieporozumienie.

A swoją drogą piosenka debiutantów — statystycznie rzecz biorąc — zbyt często oscyluje w kierunku tzw. nurtu studenckiego czy kabaretowego. **Luźnie, to nie ten festiwal.**

Z kolei niektórzy wykonawcy źle dobierają repertuar. Na przykład łódzka grupa wokalna „Primo Voto” istniejąca przy naszej Estradzie, która trafiła tam — jak słyszałem — przez pomyłkę (bo to przecież od paru lat zawodowcy) wystąpiła z utworem napisanym wyjątkowo „pod publiczność” i to w dodatku lewą ręką. Podobnie Jolanta Olcha — studentka Wydziału Aktorskiego — która o wiele lepiej czułaby się w piosence lirycznej czy nawet dramatycznej przepadła tutaj za propozycją raczej dancinową. **Kto im doradzał taki wybór?** A jeśli nikt, to dlaczego nie zainteresowano się wcześniej reprezentantami naszego miasta?

Stosunkowo najlepiej wypadła Joanna Zagdańska, opromieniona świeżo sukcesem na niedawnym Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Od czasu Torunia (Ogólnopolski Młodzieżowy Festiwal Piosenki w kwietniu tego roku) zmieniła piosenkę na ciekawszą. To nieżył materiał na piosenkarkę, choć jak dotąd brakuje jej zwłaszcza oglady w ruchu scenicznym. Liczymy na dalszy rozwój jej talentu.

SZUKAMY PRZEBOJU

Wzorem roku ubiegłego zorganizowano i tym razem koncert pod nazwą **Plebiscyt Studia „Gama”**, w którym przypomniane zostały najpopularniejsze piosenki ostatnich miesięcy poczynając od zakończenia poprzedniego festiwalu. Koncert ten był oczkiem w głowie red. Andrzeja Jaroszewskiego z Naczelnej Redakcji Muzyki Rozrywkowej i Estrady Polskiego Radia i Telewizji (niewiele jest dłuższych nazw), który też w kulturalny, inteligentny sposób zapowiadał poszczególne pozycje. Ale — jak się okazało — przyszło mu również prowadzić później otwartą dyskusję jurorów z publicznością.

A sprawa miała się tak: jury dysponowało jedną — jedyną nagrodą dla piosenki, która uzyska największą ilość punktów u członków składu sędziowskiego. Głosowanie było ani tajne, ani jawne — po prostu jeżeli utwór uzyskiwał taką liczbę punktów, że mógł wejść do pierwszej trójki, to podawano punktację, a jeżeli miał mniej — nie informowano widownię. Stąd też nie wiem, iloma punktami obdarowano np. „Sentymentalny dzień” śpiewany przez Ursulę Sipińską czy „Wszystko w jednym słowie” w wykonaniu Renaty Dąbrowskiej. Głosowanie było napisane, ale nie o to chodzi. Zwyciężyła piosenka Jana Ptaszyna Wróblewskiego i Wojciecha Młynarskiego „**Żyć kolorowo**” (co w miejscowych restauracjach społeczności natchniał hasłem: „Pił kolorowo”) w interpretacji Ewy Bem. Aliści ogłoszenie takiego werdyktu spowodowało pewien niedosyt w odczuciu publiczności. Reżyser festiwalu — Mariusz Walter wpadł więc na pomysł, aby po zakończeniu koncertu, na gorąco, pozwolić widom podyskutować z czterema przedstawi-

cielami jury. Taki sobie „mikrofon dla wszystkich”. I oto okazało się, że zdanie publiczności zgromadzonej w amfiteatrze pod Wieżą Piastowską jest w paru punktach nieco odmienne niż przeświadczenie jury. I chyba tym kierowano się później przyznając dodatkowo wyróżnienie „**Bardzo smutnej piosence retro**” w wykonaniu krakowskiej grupy „Pod Budą”.

W czasie wspomnianej dyskusji wiele było zabawnych momentów. Ponieważ transmisje festiwalowe w telewizji — mimo obietnic — znów szły z poślizgiem jednodniowym, nie wiem, czy na małym ekranie cokolwiek z tej rozmowy z jurorami zostało. Na pytania Andrzeja Jaroszewskiego i kilku widzów odpowiadał najczęściej przewodniczący jury — Lucjan Kydryński. Padło kolejne pytanie i pan Kydryński już otworzył usta, by odpowiedzieć, gdy nagle ze zgromadzonej ciżby ludzkiej dał się słyszeć pojedynczy zachry-

stwo szolmeństwo”, ale pomysł nie wypalił ze względu na zaawansowaną treść obojętą. Oni sami chcieli ją pokryć na różne sposoby, ale bez rezultatu. Być może za pośrednictwem telewizji nie można było dostrzec tego z całą jaskrawością, ale z piątego rzędu w amfiteatrze wyglądało to koszmarnie — już dawno nie słyszałem u prowadzących poważne imprezy tylu błędów i zająknięć w zapowiedziach czytanych przeważnie z karnećku.

Klasą dla siebie pozostawali zatem: Andrzej Jaroszewski i Tadeusz Szuk, ten ostatni może nieco bardziej „studyjny”, ale to już kwestia doboru środków. Powrócił na kilka minut do mikrofonu na estradzie niedawniejszy prezydent festiwalowy wykonawców i ich piosenek — Lucjan Kydryński, ale już jako juror. Jak za dawnych lat błyszczał jasnością wypowiedzi i dowcipem, gdyby jeszcze nie „puścił” owych „cen-



pnęty głos — vox populi: „niech mówi Niemen”. Zyczeniu stało się zadość. Przeboju nie znalaziono.

SŁOWO MÓWIONE

Festiwalowi recenzenci bardzo lubią „wyzywać się” na festiwalowych konferansjerach. Tegoroczne „Opole” dało w tej mierze sporo wspaniałego materiału, bowiem konferansjerów było tam sporo, jako że najpierw wychodzili jedni i zapowiadali następnych, potem... itd. Na pewno najsensownym debiutem było wyjście na estradę amfiteatru pierwszego dnia festiwalu aktorki warszawskiego Teatru „Komedia” — Agnieszki Fitkau-Perepeczko (u boku Jana Suzina), która miała do powiedzenia jedną kwestię i po krótkich zmaganiach z własnym głosem otworzyła... XVIII, a nie XVII KFPP. Później na konferencji prasowej pytano Mariusza Waltera, czy jedyną przyczyną udziału w festiwalu pani Fitkau był fakt, że ma ona długie nogi. Reżyser odpowiedział wówczas, iż jego żona (red. Bożena Walter z Telewizji Polskiej — przyp. mój) ma ładniejsze nogi. Wiadomość tę przyjęło jednak z pewną rezerwą, gdyż pani Walter siedziała też na tej sali i niczego nie zademonstrowała. Tyle żartów.

A teraz poważnie. Poważnym błędem było powołanie konferansjerki parze: Lilliana Głębocznicka i Roman Frankl. Ci niedoświadczeni aktorzy mieli uchodzić tam za „pań-

W ATMOSFERZE BEZTROSKI

Pogoda tym razem — można powiedzieć — dopisała festiwalowi. Było niemal bezdeszczowo i słonecznie. Już pierwszego dnia festiwalu przedstawiono nam widokowo zadowolone „**Koncert Laureata**” — program o profilu kabaretowym, w którym udział wzięli m.in. Zenon Laskowik, Bogdan Smoleń i tytułowy laureat — Jan Kaczmarek. Było sporo dobrej zabawy i tak już pozostało. Mniej było w tym roku napuszonych narad, podczas których strzelało się z armaty do wróbla, a więcej za to bisów, kiedy to „cała sala śpiewała z nami”. I chyba tak właśnie być powinno, że piosenka tworzy rozrywek masowej.

Garsz refleksji z festiwalu pisanych na gorąco tuż po powrocie z Opola ma też zaletę, że jest twardsza, co nieprzemysłana. I teraz, kiedy kończę już ten materiał zaczynam sobie zdawać sprawę, że porzuciłem takie sprawy, które pozostały mi w pamięci, a nie robiłem tego według jakiegoś programu, rozkładu jazdy — koncert po koncercie. Nie napisałem tylko ani słowa o tegorocznych opolskich premierowych piosenkach, ale czy to już samo o czymś nie świadczy?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

OPOLSKIE PIOSENKI I NIEPOROZUMIENIA

mniej szlagierów niż dawniej. Taki na przykład walc „Embaras” Wasowskiego i Przybory i dzisiaj brzmi współcześnie w wykonaniu Ireny Santor, która z powodzeniem występuje na krajowych i zagranicznych estradach od ponad dwudziestu (a nie jak przeżył się Tadeusz Szuk w swej zapowiedzi — od kilku) lat. Tak czy inaczej Irena Santor otrzymała w tym roku Grand Prix Festiwalu, co z pewnością ucieszyło wielu jej sympatyków.

I wszystko byłoby fajnie, gdyby nie jeden mały detal: ośrodek nagrody Grand Prix przyznawało festiwalowe jury, a pani Santor... była w jego składzie. Dlatego też — przynajmniej na pierwszy rzut oka — wygląda to na samoobslugę. Podobnie sprawa z Niemenem. Mówiło się kiedyś wiele i pisało, że nazwiska jurorów nie powinny się pokrywać z nazwiskami twórców ocenianych utworów, a tymczasem Niemen — juror miał możliwość oceniania własnej kompozycji śpiewanej przez Teresę Haremcę. Niby to drobiazgi, a jednak...

Co poza tym, jeśli chodzi o przeboje 35-lecia Polski Ludowej? Wszystkie piosenki wysłuchaliśmy z przyjemnością, tym bardziej, iż częstokroć przypominały wykonańcy dawno przez nas nie oglądani (np. Tadeusz Chyła, Kazimierz Grześkowiak), ale tak naprawdę najlepiej wybroniła się (czy może — największą furorę zrobiła na wido-

któremu nie wiadomo dlaczego w koncercie finałowym zabrał piosenkę Czesław Niemen. Osobiście zaliczałem się do sympatyków talentu tego artysty, ale jego wykonania tak „Piosenki o mojej Warszawie”, jak i szlendarowego utworu Niemena **Dziwny jest ten świat** bardzo mnie rozczarowały. Oprócz tego pytanie: jak długo na imprezach festiwalowych będzie się oszukiwać publiczność trickiem znanym jako play back? Bo właśnie nim posługiwał się kilka razy Czesław Niemen. Czyżby brakło pewności siebie? A może głos już nie ten?

TEN PIERWSZY RAZ

Debiuty to jakby osobny, ale przylegający ściśle do festiwalu pion. Nic dziwnego, że przyglądamy się debiutantom ze szczególnym zainteresowaniem, bo to przecież narybek rodzimej estrady, ci, których być może słuchać będziemy za lat parę już jako profesjonalistów (notabene: jak poinformował dziennikarzy wicedyrektor Departamentu Teatru, Muzyki i Estrady — Ryszard Woźniak już tej jesieni wyższe szkoły muzyczne zajmą się kształceniem piosenkarzy). Wśród dość licznych grona, tych, którzy po raz pierwszy stanęli przed opolską publicznością (niektórzy byli tam już po raz drugi i trzeci) nie było zdecydowanych rewelacji. Jednakowoż podzielił nagród

„BOSS” CZYLI DYSKRETNY UROK PRAPREMIERY

O prawo pierwszego „wystawienia sztuki” ubiegają się teatry na całym świecie. Fakt przygotowania prapremiery wiąże scenę, na której się ona odbywa, z dziejami inscenizacji zrealizowanej pozycji, a więc wpisuje tę scenę w historię.

Dzieje inscenizacji „BOSSA”, operetki skomponowanej niedawno przez gaudiackiego twórcę, Igo Hofstettera, zaczęły się w Łodzi, na scenie Teatru Muzycznego, który, nie bojąc się ryzyka, przygotował pierwszą na świecie inscenizację tego dziełka. Być może otworzy ona przed nim podwoje innych teatrów, choć już dziś zaryzykować można przypuszczenie, iż nie zrobi ona na świecie oszałamiającej kariery.

Brakuje bowiem „Bossowi” takich walorów, które uczyniłyby z niego operetkowy przebój, czy sprawiły, że stałby się on słupem milowym w dziejach reprezentowanego gatunku. Nie znaczy to oczywiście, iż rzecz pozbawiona jest wartości, ale te, które posiada, nie tchną nowatorską myślą i wydają się być wtórne w stosunku do takich pozycji ze światowego repertuaru muzycznego, jakim historia operetki i musicalu przydała miłośnikom. Skomponowana przez Hofstettera muzyka w wielu fragmentach do złudzenia przypomina rozwiązania melodyczne i instrumenta-

cyjne wprowadzone znacznie wcześniej przez Cole Portera czy Gershwiną i wcale niełatwo nam uwierzyć zamieszczonym w programie słowom Henryka Mozera, reżysera i inscenizatora, iż jest to zamierzona przez kompozytora stylizacja, zgodna z panującą modą „retro”. Tam bowiem, gdzie w partyturze kończy się owa zamierzona rzekomo stylizacja, tam zaczyna się pustka wynikająca chyba z braku kompozytorskiej inwencji. „Boss” zresztą, zarówno od strony muzycznej, jak i w konstrukcji libretta, jest tyleż niespójny, co i niejednolodny stylistycznie, a owych luk między poszczególnymi etapami jego muzycznej i fabularnej linii nie ma czym wypełnić i inscenizator skazany tu jest na prowadzenie spektaklu od scenki do scenki. Scenki te, aczkolwiek same w sobie są ładnie skonstruowanymi obrazkami, to jednak z trudem łączą się w całość. Trzeba jednak przyznać łódzkiej inscenizacji, że uzupełniła te luki, wzmacniając nieco słabą miejscami i rwącą się materię, zarówno muzyczną, jak i dramatyczną.

Dramaturgia „Boss” grzeszy podstawowym błędem. Nieskomplikowana fabuła i równie prosta intryga, stanowiąca jej oś, znajduje finalnie tylko zaskakujący (choć za to chwala — jeśli wszystkie zdarzenia mają po-

smak sensacyjny), ale i tak skomplikowany, że nawet twórcy libretta (Erhard Reinthaler i Igo Hofstetter) nie zdołali uzasadnić motywów, ani rozwinąć tajemnic powiązań między snującymi plany kradzieży biżuterii Bossem, a ślepą, acz nieoligiczną, wykonującymi jego rozkazy kompaniami. Jeśli zgodzić się ze złośliwym, męskim twierdzeniem, iż kobiety potrafią zagmatwać wszystko, a owym Bossem jest właśnie kobieta, to trzeba nam będzie pogodzić się z nieoczekiwanym zgoła i nie bardzo logicznym rozwiązaniem i przyjąć za słuszny fakt, że tak musi być i koniec.

Twórcy łódzkiej inscenizacji „Boss” zrobili wiele dla zdynamizowania i urody spektaklu. Zbigniew Pawełek dobrze przygotował muzyczną stronę widowiska. Świetne tempo orkiestry i wyraźna poprawa brzmienia kwintetu są jego cenną zasługą. O przykry dla ucha zgrzyt ciałek jednak jeszcze przypominają nam trąbki, a ich brzmienie (zwłaszcza w uwerturze) jest aż nadto wyraźnym sygnałem, że trzeba tu jeszcze popracować.

Henryk Moyer, reżyser i inscenizator „Boss”, obronną ręką wywodzi z trudnego zadania. Interesujące prowadzone przez niego role i kilka świetnych zaiste pomysłów i rozwiązań sytuacyjnych (czwórka zawsze

tych samych policjantów prześladowanych się jak refren w każdym z miejsc, w których toczy się akcja) przydało spektaklowi koniecznego blasku i pogodnego uśmiechu, choć odnotować także muszę obecność w spektaklu kilku scen sytuujących się poniżej poziomu całego przedstawienia (scena z zegarkiem w drugim akcie, scena oglądania biżuterii i modelek w akcie trzecim).

Jeśli już o blasku łódzkiej inscenizacji mowa, to dosłownie i w przenośni zawdzięczamy go w ogromnej mierze Xymenie Zaniewskiej-Chwedeckiej, której dziełem jest bardzo atrakcyjna scenografia i niczym w czasie pokazu mody, przykuwające naszą uwagę piękne kostiumy.

Specjalne słowa uznania należą się Janinie Niesobskiej. Pomysł opracowania ewolucji tanecznych nie tylko dla świetnego zresztą w tym spektaklu zespołu baletowego, ale także „roztańczenia” całego przedstawienia wydaje mi się znakomity, bo dynamizuje widowisko. Z wielkim uznaniem patrzyłam, jak śpiewają: tanczyli wszyscy soliści. Nielatwe układy choreograficzne, przygotowane przez Janinę Niesobską, wykonywali ze swobodą i lekkością, o jakiej w takich rozmiarach w poprzednich inscenizacjach trudno było marzyć.

Swobody wokalne natomiast zabrakło, niestety, chórowi.

Z licznej grupy solistów wyróżnić pragnę pełną istotnie paryskiego wdzięku i coraz lepiej operującą swym ładnym sopranem Arlette Włodarczyk (Iwona), dobrze jak zawsze śpiewającą i nienaganną Iwona Elżbietę Ptak-Araskiewicz (Georgette), Adama Koziołka, który stworzył bardzo ciepłą, młodzieńczą i prawdziwą postać zakochanego studenta Piotra oraz Janusza Duńskiego w charakterystycznej roli Omara. Mniej niż zwykle podobał mi się natomiast Zbigniew Waloch, prezentujący obłąkaną znacznie formę wokalną. Wydał mi się on przy tym niezbyt fortunnie obsadzony w roli Jimma. W relacjach policjantów wystąpili: Jerzy Czapliński, Czesław Gracki, Jan Jerma Jan Padkowski, a w roli Niny — Danuta Gaura-Dembek.

Mimo mankamentów, polecam ten spektakl na jesienne wieczory, jakie czekają nas po powrocie z — oby — udanych urlopów. Jak dotąd, Łódź jest jedynym miejscem na świecie, gdzie można obejrzeć „Boss” i może właśnie na uświadomieniu sobie tego faktu polega dyskretny urok prapremiery...

EWA PANKIEWICZ

DZIWNE I CIEKAWY

Leży przede mną numer 12 popularnego zachodniemieckiego tygodnika polityczno-kulturalnego „Der Spiegel” z dnia 19 marca 1973 roku. Na okładce, wysoko w górę, latający spodek, u dołu, po prawej zdjęcie Ericha von Dänikena, obok barwny szereg istot „nie z tej Ziemi”, za nimi jakieś anteny, a w głębi łańcuchy górskie. W poprzek strony — wielki napis: „Oszustwo Dänikena — 9 milionów nakładu”.

Tytułowy materiał numeru poświęcony jest fenomenowi sukcesu szwajcarskiego hotelarza i temu, co się za tym zjawiskiem kryje. Do marca 1973 roku książki von Dänikena ukazały się w 27 językach. W samych Stanach Zjednoczonych, po audycji telewizyjnej, poświęconej sprawom poruszonym przez Dänikena, w ciągu 24 godzin sprzedano 350 tysięcy egzemplarzy jego publikacji.

„Niepowstrzymany wzlot Ericha von Dänikena już nie stanowi tylko fenomenu literackiego czy osobistego — czytamy w artykule wstępnym czasopisma „Spiegel” — natomiast stał się wskaźnikiem stanu społeczeństwa, którego horyzont poznawczy i badawczy rozszerza się coraz dalej w makro- i mikroprzestrzeni Wszechświata i którego tęsknota za sensem, za zdobyciem wielkiego klucza do zagadki życia jest coraz gorętsza”.

W cytowanym artykule redakcja zachodniemieckiego czasopisma nie p.zebiera w słowach, których nie będę tu powtarzała. Prawda jest jednak, że idee, które głosił i głosi von Däniken, trafiły na wyjątkowo podatny grunt, choć początek był niełatwy. Szwajcarski popularyzator tezy o odwiecznym życiu przez przybyszy z kosmosu, zgłosił pierwszy swój maszynopis — „Wspomnienia z przyszłości” w wydawnictwie Econ w Düsseldorfie z początkiem roku 1967. Recenzje były nieprzychylnie. Barth von Wehrenalp, kierujący wydawnictwem, oświadczył po prostu, że książka stanowi „produkt emocjonalnego grafomanu”.

Elokwencja i zapal von Dänikena przewyższyły jednak opory wydawcy. Von Wehrenalp zgodził się na zaledwie sześciotygodniowy nakład, ale dał oryginalną von Dänikena do przeróbki. Wykonał ją Wilhelm Utermann — literat mieszkający w Rogersdorf w pobliżu Monachium, który jako autor scenariuszy i producent filmowy z lat pięćdziesiątych dobrze znał gusta publiczności. Sukces wydawniczy przeszedł wszelkie oczekiwania.

W rok później następną książką von Dänikena „Z powrotem ku gwiazdom”, a po trzech dalszych „Zasiew i Kosmos” — reportaż z domniemanych przeżyć w jaskiniach andyjskich, który przede wszystkim stał się przedmiotem zacieklego ataku tygodnika „Spiegel”.

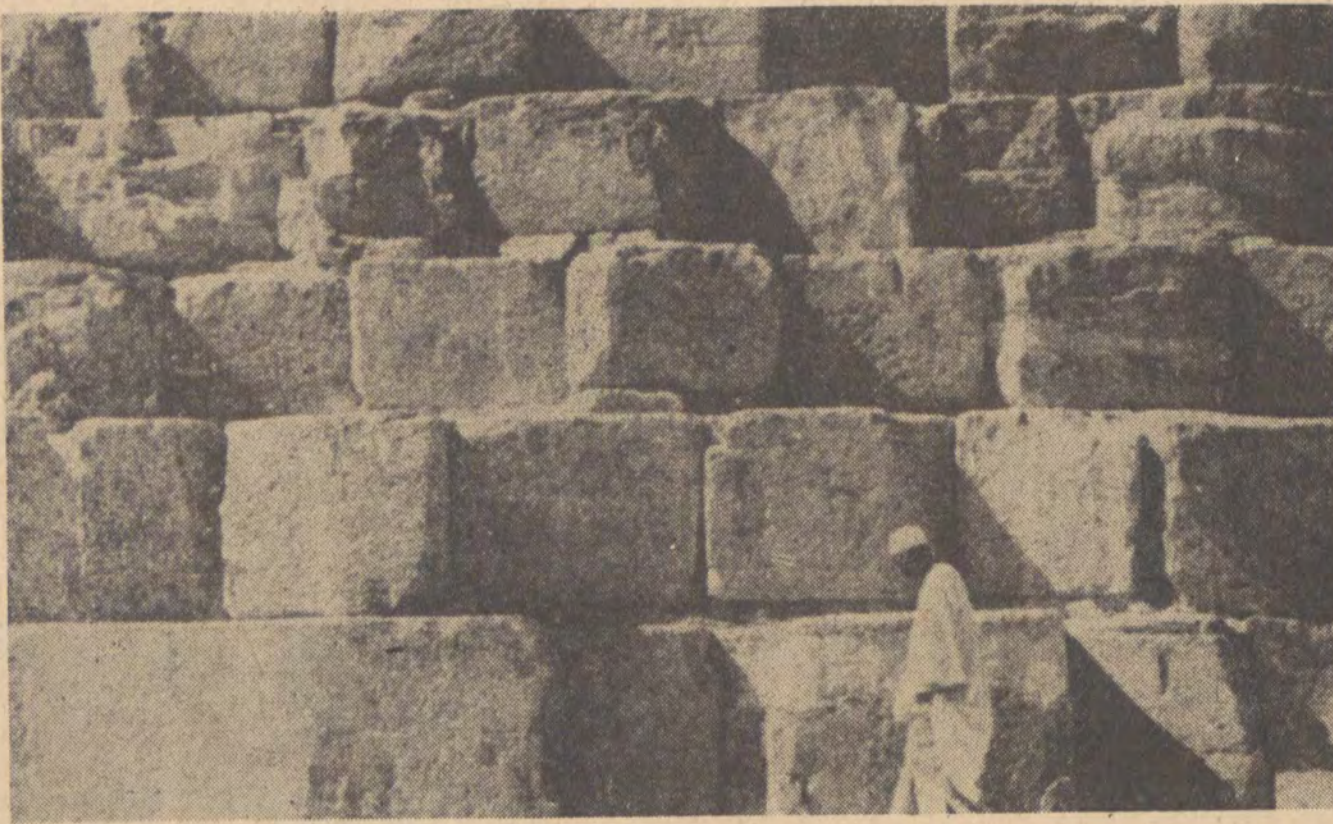
Rzekome podobieństwa i prawdziwe błędy

„Wspomnienia z przyszłości” i druga książka von Dänikena ukazały się również w języku polskim. Do pierwszej z nich dr Marek Marcinia i dr Olgierd Wołczek napisali krytyczne, choć z konieczności niewyczerpujące postawie. Nie kierowali się oni żadnymi uprzedzeniami. Tak wiele faktów wymyka się jeszcze naszemu poznaniu, że byłoby nierzetelne z góry odrzucać te, których nie potrafimy jeszcze wytłumaczyć. Nie wolno jednak doczepiać fantastycznej interpretacji do wydarzeń, które można wyjaśnić na gruncie współczesnej nauki w sposób racjonalny.

Tymczasem von Däniken gromadzi i przeobraża fakty w sposób wygodny dla poparcia swych tez, nie dbając o poprawność. Mniejszym jego grzechem jest dość dowolne posługiwanie się analogiami. Taki sposób rozumowania może prowadzić na manowce. Należące do gadów jurajskich ichtiozaury, ryby oraz delfiny wykazują podobieństwo zewnętrznych kształtów, choć należą do całkiem innych kategorii taksonomicznych i rozwinęły się zupełnie niezależnie od siebie. Podobna postać ciała u wszystkich innych zwierząt wykształciła się po prostu w wyniku konieczności dostosowania do środowiska wodnego, w którym przyszło im żyć.

Podobieństwo obiektu kultowego Inków, wykonanego ze złota, do samolotu jest czymś powierzchownym. Równie dobrze ten drogienny obiekt może przedstawiać rybę. Dawny rysunek na skale, przypominający postać kosmonauty, może obrazować człowieka osłoniętego szczelną tkaniną w celu schronienia się przed niesionymi wiatrem tumanami piasku.

W Starym i Nowym Świecie przed



STEFAN KOWAL

NA BŁĘDNYCH SZLAKACH KOSMITÓW

wielu wiekami wznoszono piramidalne budowle. W starożytnym Sumerze były zikkuraty — świątynie tarasowe, w Egipcie — piramidy, które stanowiły pomieszczenia grobowe wielkich faraonów. W Tenochtitlan (dzisiejszym Meksyku) i Chichen Itza (na Jukatanie) powstały piramidy schodkowe, służące celom kultowym. Każdy z narodów, który wznosił te szczególne monumenty, wymyślił je niezależnie od drugiego, a sposób ich wykorzystania był odmienny. Zbieżność postaci wynika z właściwości umysłu ludzkiego, który niezależnie od położenia geograficznego wynalazł ogień, polowanie na zwierzęta, uprawę roli, naczynia kuchenne, odzież, narzędzia.

A oto jak von Däniken, dla po-

końcem czwartego tysiąclecia p.n.e. Wtedy też dopiero wymyślono tam pismo. Słynne grody Lagasz, Uruk, Ur powstały dopiero około roku 3000. W „Liście królów”, z której von Däniken bezkrytycznie zaczerpnął informacje o fantastycznie długotrwałym panowaniu sumeryjskich władców wymienieni są suwereni równoległe władający w różnych miastach-państwach kraju. Mechaniczne dodanie liczb oznaczających długotrwałość poszczególnych rządów powoduje omyłkę — w istocie domniemany okres np. 24.510 lat kurczy się do mniej więcej 500—700 lat.

„Znalezione w Ur, w Chaldei, teksty na złotych płytkach — czytamy dalej we „Wspomnieniach z przysz-

ności” — mówią o „bogach” ludziom podobnych, którzy przybyli z nieba i ofiarowali kapłanom złote płytki”. Jak wiadomo, w niezliczonych religiach świata wybrańcy mają rzekome kontakty z bogami. Fakty takie były jedną z podstaw kultów starożytnych, lecz oczywiście są one równie mityczne, jak spotkania legendarnego władcy Uruk — Gilgamesza ze słynnymi poematów sumeryjskich z mieszkańcami niebios. Wszak i Gilgamesz od bogini Inanny otrzymał pukły i młotki (bęben i pałeczkę). Ani ta, ani poprzednia historia

nie stanowią najmniejszego dowodu na spotkanie sumeryjskich wybrańców z istotami, w których von Däniken chce upatrywać przedstawicieli obcych cywilizacji znajdujących się na znacznie wyższym poziomie niż nasza własna.

Wszelkie dowody archeologiczne przemawiają również przeciw domniemanej przez von Dänikena, ogromnej starożytności Egiptu. Rozkwit cywilizacji nastąpił tam dopiero około 3000 lat p.n.e. Z tego też okresu pochodzi pismo egipskie w postaci hieroglifów. Wielkie piramidy powstały mniej więcej w połowie III tysiąclecia p.n.e. Były one dziełem takiej cywilizacji, jaka wtedy istniała w wyniku naturalnego rozwoju

młoda, jest starannie i dokładnie zniwelowany?... Jakim kosztem i jakimi „maszynami”, jakim technicznym wysiłkiem wyrównano ten skalisty teren? W jaki sposób przeprowadzili budowniczy korytarze w skałach?... Jak i czym wycinano olbrzymie bloki z kamieniołomów? Bloki o ostrych krawędziach i gładkich powierzchniach ścian? Jak je transportowano, a jak je łączono jeden na drugim z milimetrową dokładnością? I znowu plik wyjaśnień do wyboru: pochylnie, torowiska piaszkowe, na których posuwano kamienie, rusztowania, rampy, podsypywania... i naturalnie praca wielu setek tysięcy egipskich mrówek: chłopów i rzemieślników... 2.600.000 ogromnych bloków wycięto z kamieniołomów, oszlifowano i przetransportowano oraz do milimetra dopasowano na budowle”...

Von Däniken sugeruje niedwuznacznie, że za techniką budowy piramid kryli się nadludzie, pochodzący spoza Ziemi, którzy dysponowali nieznanymi nam do dziś siłami. Tymczasem prawda jest inna. Jeszcze obecnie można oglądać w egipskim Assuanie olbrzymi, nie wykonany obelisk o długości około 45 m, a masie około 1.200.000 kg. Pozostał on w kamieniołomie, jak można sądzić, wskutek pojawienia się niebezpiecznych rys w materiale. Na podstawie dowodów materialnych znalezionych w toku wykopalisk archeologicznych wiadomo, że obróbkę granitowego obelisku prowadzono przy użyciu kul dolerytowych, umocowanych na kafarach (doleryt to skała magmowa, odznaczająca się znaczną twardością). Taką samą metodą wykonywano wokół obrabianego bloku koryto w celu oddzielenia monolitu od otaczającego go mineralu macierzystego. Bryły wapienne wykrawano pilami o brzeszczotach z brązu, których zęby były utwardzone korundem albo też przy wycinaniu podsypywano piasek. Do obróbki kamienia, obok dolerytu, stosowano także kwarcyt i inne materiały.

Ponieważ w okresie budowy piramid nie znano jeszcze w Egipcie ani kołowrotu, ani bloku, budowniczy dysponowali jedynie dźwigniami, rolkami i saniami. Pracę wykonywali wyłącznie ludzie — pojazdy kołowe poznało dopiero w połowie II tysiąclecia p.n.e. po najezdzie Hyksosów. Zamiast rusztowań dostosowano rampy usypane z ziemi — na nie wciągano lub wtaczano bloki kamienne. Posługiwano się przy tym linami, naprężając je przez skręcanie. Bloki na miejscu budowy dopasowywano jedynie na spójniach, a inne płaszczyzny pozostawiano w stanie surowym. Należy jeszcze dodać, że masa każdej takiej bryły wynosiła tylko 2,5 tony. Zachowały się też spisy robotników zatrudnionych przy budowie piramid. Wiadomo, ile i co jedli. Odkryto również pozostałości po barakach, w których zamieszkiwali.

Budowa piramid miała co najmniej dwójaki cel. Jednym było wzniesienie okazałego miejsca spoczynku dla władcy o boskich atrybutach. Całe przedsięwzięcie miało jednak również znaczenie praktyczne — zatrudnienie dużej liczby w okresach, kiedy nie wykonywali oni prac rolniczych. Były to po prostu wielkie roboty publiczne.

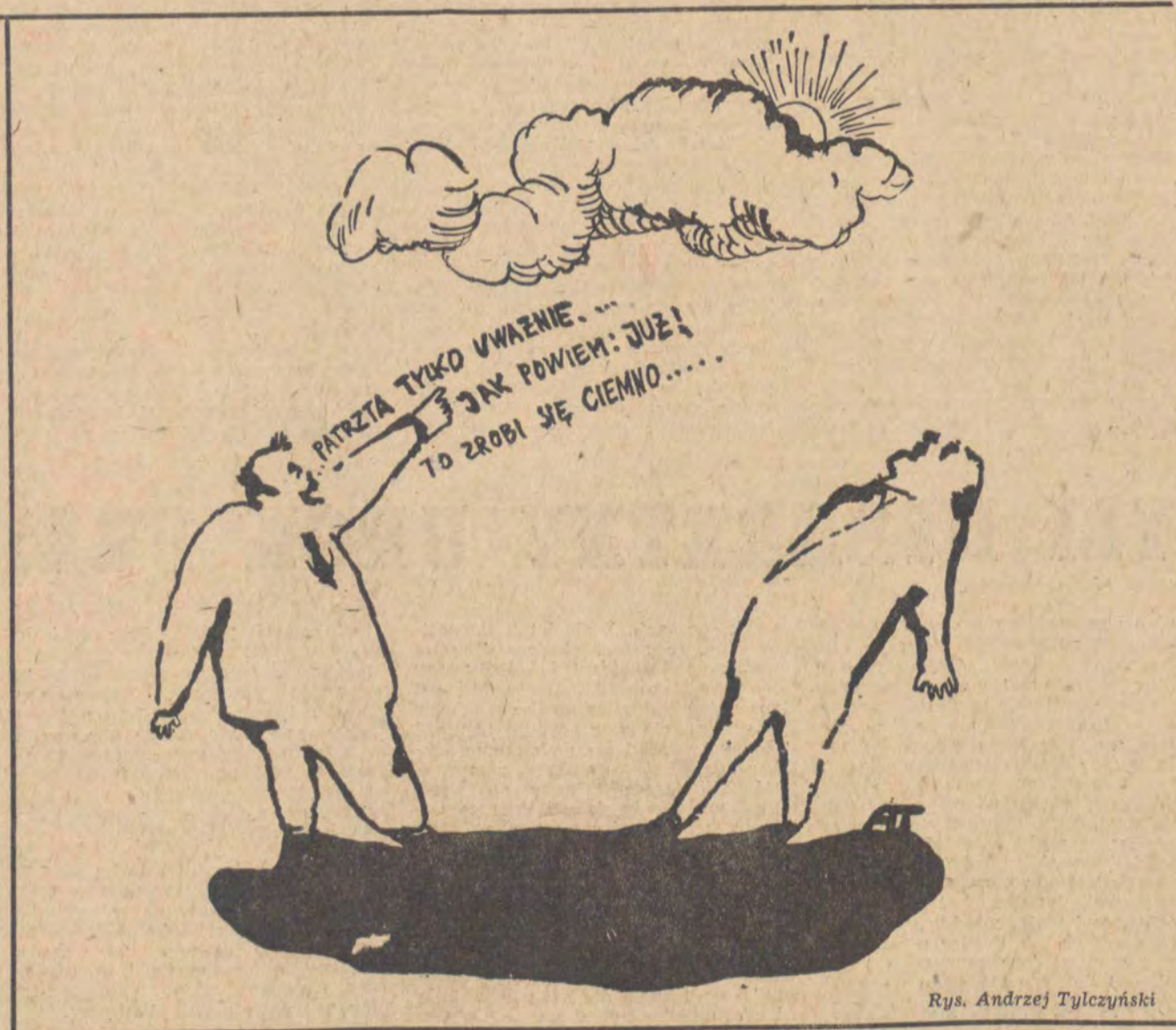
Przy okazji należy zwrócić uwagę na dwie jeszcze sprawy związane z piramidami w Gizie. Von Däniken podaje, że masa piramidy Cheopsa wynosi 31.200.000 ton. W takim wypadku — przy obecnych rozmiarach — musiałaby one być wykonane z materiału o gęstości zbliżonej do gęstości rtęci (około 13.500 kg/m sześć). W istocie masa kolosa jest mniej więcej dziesięciokrotnie mniejsza, niż podano we „Wspomnieniach z przyszłości”.

Druga sprawa dotyczy informacji rzekomo zaszyfrowanych w wymiarach elementów piramidy. Jest oczywiście możliwe, iż pewne dane zostały tam zakodowane. Z wyciągnięciem wniosków należy być jednak ostrożniejszym. Jak podaje von Däniken, dzieląc pierwotny obwód piramidy przez podwojoną jej dawną wysokość, otrzymuje się liczbę $\Pi = 3,14$, co rzeczywiście odpowiada prawdzie.

Jest w tym rozumowaniu jednak sztuczność. Dlaczego akurat trzeba podwoić wysokość? Wybierając dowolne elementy i odpowiednio mnożąc je, dzieląc, dodając, odejmując można zawsze otrzymać liczbę, o którą nam chodzi. Zmierzyłem akurat długość i szerokość mojego biurka, które mam w domu. Wynęsza one: 191 cm i 89 cm. Gdy podzielę obwód biurka przez podwojoną jego szerokość, też otrzymam liczbę 3,14. A przecież nie sposób przyjąć, że stolarz, który kiedyś wykonał ten mebel, zamierzał przekazać użytkownikowi informację o Π . Zbieżność jest najzupełniej przypadkowa.

(c.d.n.)

(„ASTRONAUTYKA”)



Rys. Andrzej Tylczyński

parcia swoich tez, przedstawia fakty z historii dawnych ludów. „Stare pismo klinowe — pisze on we „Wspomnieniach z przyszłości” — świadczy o wręcz fantastycznie długim życiu Sumerów. Posiadali oni dziesięciu królów, którzy rządili łącznie przez 456.000 lat i dwudziestu trzech królów, którzy, mając kłopoty z odbudową po potopie, panowali mimo wszystko 24.510 lat i 3 miesiące oraz 3 i 1/2 dnia”.

Tymczasem, wiadomo dziś z całą pewnością, że rozwój cywilizacji sumeryjskiej rozpoczął się dopiero z

społeczeństwa. Podziwiać można jedynie organizację pracy, która jednak mogła być sprawnie wykonywana przy ówczesnym autokratycznym systemie rządów.

Co natomiast pisze von Däniken?

„Czy jest także przypadkiem, że skalisty grunt, na którym stoi pira-

NA PRAWACH ARCHETYPU

Widowisko, który w czerwcu osiągnął do pustego o tej porze roku Salonu BWA przy Piotrkowskiej, mógł tam obejrzeć wystawę malarstwa warszawianina JAKA SIENICKIEGO. Wydaje się ona interesująca przede wszystkim jako nieświadomy zapowiedź ze strony jodeckiego BWA zios na narastającą, a przerwaną tylko urlopowym sezonem dyskusji wokół tw. Pokolenia Współczesności — z którym Sienicki jest łączony. Rysując się w polemikach z centralnych tygodników odzwierciedla twórcę debiutującego w połowie lat 30-tych, podparcie autorytetem Artauda, Sandaera, dotyczy głównie literatury. Sytuacja w malarstwie jest inna: nie tylko dlatego, że podważanie prestiżu uznanych nazwisk jest poza dobrymi obyczajami krytyki. W tej dyskusji sztuki kryteria są raczej ostre i szybkie się zmieniają. Sami artyści zresztą rewidują własny styl i ideologię najszybciej.

Twórczość Jaka Sienickiego nie potwierdza tej zasady. Chyba dlatego malarstwo jest wobec niej pytanie stawiane dziś literatom spod znaku „Współczesności”, co z tego zostało? Jacek Sienicki, zapewne mniej znany od Tadeusza Dominika, Jana Lehensteina, Zbigniewa Makowskiego czy innych artystów debiutujących wraz z „Współczesnością” — w największym chyba stopniu zachował do dzisiaj w obrazach nastroj i klimat czasów po — socrealistycznych. Jest także byłym „Arsenalowcem”, uczestnikiem pamiętnej i tylekroć przypomnianej wystawy w warszawskim Arsenalu w r. 1935, oraz jednym z czołowych propagatorów tzw. gorącej, swobodnej i międzynarodowej abstrakcji „informel”. Opatrzanie jego obrazów choćby takimi etykietami samo w sobie jest zabiegami nobilitującym. Ale żeby choć w części powiodła się odpowiedź na stawiane wyżej pytanie — niezbędna jest sięgnięcie do źródeł ideologii artystycznej Pokolenia około 1935 r.

„Arsenalowcy” (poza emocjami nie mieli, jak się twierdzi wspólnego programu. Mimo to w skali całego Pokolenia przewija się kilka wątków ogólnych: romantyczny szacunek do ideałów i tradycji, metaforyczność wypowiedzi, łatwość recepcji międzynarodowych prądów artystycznych jako służące wspólnej komunikacji języka. Ograniczyłem się do takich, których echo brzmiał w obrazach Sienickiego — choć pełna lista niewiele jest bogatsza. Artysta ten od początku, zwłaszcza w konfrontacji z innymi twórcami, uprawiającymi w swoich czasach informel, zdawał się być rygorystą, narzucającym sobie własne nieodwołalne od realizmu, a tematy wybierał również tradycyjne: wnętrza, martwą naturę, rzadkie portrety. Lecz starał się zarazem respektować jedno z zasadnych haseł Arsenalu: nie „ma sztuki bez detonuacji”. Informel dawał tu jeszcze większą możliwość i w ten sposób wykrystalizował się indywidualny styl Sienickiego. Pozostał mu wierny po dzień dzisiejszy. Tematyka obrazów nie uległa prawie zmianom; podobnie jak przed kilkunastu laty charakterystyczna cecha jest swobodne traktowanie motywów, szybkie, zostawiające ślad narzędzia rysunkiem. Niewiele zmienił się również kolor, przypominający trochę szkołę malarstwa z XIX wieku, a trochę niedziwójnych „kapistów”.

W sumie malarstwo to wydaje się dwiema stylizacjami: spokojną (a niekiedy nawet powagą) tematu obok „gorącego”, jakby nerwowego opracowania faktury i rysunku; ciemne sosy obok lokalnych plam koloru. Wszystko jednak doskonale zharmonizowane, trafione. To więc zostało w malarstwie Sienickiego sprzed lat kilkunastu. Można chyba zaryzykować porównanie, że styl artysty zatrzymał się w stadium larwalnym wtedy, gdy inni „arsenalowcy” zmienili się w motyle czy jętki — jednolitości. Może dlatego, że okres ten — mimo wszelkich prób dyskredytacji — jest dla naszej kultury (plastycznej zwłaszcza) tak znaczący, warto przyrzeć się obrazom Jaka Sienickiego jako swojemu artystycznemu. Sądzę, że dla wielu młodszych sztuk współczesnych, którym emocjonalnie bliższy jest Arsenal, będzie to pewne rozczarowanie: brak w nich bowiem własnej emocji. Jeśli tradycyjne tematy są traktowane z odpowiednim brakiem szacunku, a ślady tego spiecia są wyretuszowane — cóżże przestać być też wyretuszowane.

Można jednak spojrzeć na twórczość Sienickiego inaczej. Usprawiedliwił to kolejni dyskretni aktualnie trwają w Łodzi wystawy III Triennale „Metafora — Tendencje”. Wydaje się, że Sienickiego wiele łączy z artystami tam wystawiającymi. We współczesnej postaci metafora jest w większości nieczym innym, jak realizmem sięgającym korzeniami niedawnego okresu zwycięskiego pochodzą „nowej figuracji”. Polskim przedstawicielom tej orientacji chodziło o artystyczny wyraz egzystencjalnego niepokoju: ludzi o ludzi. Naczelny motywem był człowiek ukazany w aluzyjnych sytuacjach, opisywany swobodnym pędem.

Prace Jaka Sienickiego nieodparcie kojarzą się z Nową Figuracją — tyle że bez człowieka, głównego bohatera. Skolaryzowanie polega zwłaszcza na wyrażeniu łączności formalnej. Ale treść również nie jest odległa. W drugim wypadku odcienie było tylko tym dla ludzkiej egzystencji. W pierwszym samo zostało uhonorowane. Nowa Figuracja zaczerpnęła z „informelu” część swojej manieri. W tej perspektywie wystawa Sienickiego ponownie okazuje się swoistym archetypem.

Nie chciałbym, mimo wszystko, brać pełnej odpowiedzialności za powyższe uwagi. Ani kategoryzowanie, ani też szukanie paradygmatów w sztuce współczesnej, interesująca. Aż szkoda, że w tzw. międzyczasie i zarazem dobrze, że stanowi pewne uzupełnienie dla III Triennale.

ANDRZEJ MAJER

SZTUKA AKTORSKA

FAW wydał książkę Odette Aslan „Aktor XX wieku”. Autorka sama jest aktorką i współpracownikiem paryskiego Ośrodka Badań Teatralnych, trudności związane z rzemiosłem aktorskim są jej znane i bliskie. Istotną rolę w wydaniu książki odegrał także jej mąż, aktor i aktorzy spotykali się z przychylnym zainteresowaniem czytelników.

„Aktor XX wieku” jest książką, która w porządku chronologicznym przedstawia koncepcje artystyczne teatru. Aslan siedzi kołowej fazy formowania się metod gry aktorskiej wskazując na dalekość, do której w danej epoce (teatrzy) i jest w tej metodzie postępowania konsekwentna. Wychodząc z założenia, że nie sposób myśleć i pisać o współczesnym teatrze in statu nascendi, bez odwołania do doświadczeń wielkich poprzedników końca XIX i XX w., przeprowadza autorka stałe porównania i zestawienia.

Książka składa się z trzech części: 1) Tradycyjna metoda kształcenia i 2) Współczesna metoda kształcenia i 3) Współczesna metoda gry scenicznej.

Odette Aslan omawia tradycyjny system kształcenia aktorów we Francji, który zwraca uwagę przede wszystkim na sztukę mówienia, a dalej omawia szkoły Dullina i Copeau, zwracając uwagę na proces formowania umów do ćwiczeń improwizacyjnych i pracy nad ciałem. Wiele uwagi poświęca reformatorom, wieloletniemu, wspaniałemu, czasy teatru przełomu XIX i XX wieku. Autorka podkreśla, że uformowany przez Rosjanina system nie powstał sam, a siebie, ale zrodził się m. in. dzięki Memmingowi i wprowadzonej u niego dyscyplinie pracy zespołu, z idel umiaru Paskina, Gogola i Ostrowskiego czy wręcz z etycznych przekroczeń współczesności MCHAT-u Niemcewicza-Danczenki.

Przedstawia również kierunki w sztuce, powstałe w wyniku antyteatralnej reakcji. Dla pełnego zrozumienia wytywa jak wywodzi symbolizm, ekspresjonizm, futurizm, dadaizm i surrealizm na grę aktorską autorka uznaje za konieczne odwołanie do dramatyzmu, ponieważ nieśmiało ona nowe propozycje, podsuwa i wymaga innych rozwiązań aktorów.

Powstały po Rewolucji Październikowej teatr polityczny w Związku Radzieckim i Niemczech jest w książce omawiany na przykładach tak wybitnych indywidualności jak: Meyerhold, Tairow, Wachtangow oraz Piscator i Brecht.

Ostatnia część pracy jest poświęcona omówieniu współczesnych metod gry scenicznej. Stosowane obecnie metody są wynikiem zderzenia dwu przeciwstawnych prądów: pierwszy nawiązuje do brechtowskiej formuły gry z dystansem, drugi do koncepcji teatru Artauda — gry w transie, teatru, który odczuwany u widza katharsis.

Omawiając działalność zespołów teatralnych powstałych na całym świecie w ostatnich kilkunastu latach autorka wskazuje na tendencje powrotu do gry zespołowej, na powstawanie licznych teatrów eksperymentalnych i laboratoriów badawczych. Omawia teatr-laboratorium Grotowskiego, koncepcję Eugenio Barbo ucznia Grotowskiego, który w Danii założył własne laboratorium poszukiwań teatralnych. Później o poszukiwaniach Juliana Becka i Judith Maliny skierownik i założyciel: Living Theatre, wskazuje na pokrewieństwo ich teatru z koncepcjami Artauda w zakresie wzbudzenia widza, w prowokowaniu go do włączenia w zbiorową improwizację. Autorka dochodzi do przyczyn i efektów nowoczesnych koncepcji teatru, które skupiały wokół siebie międzynarodowy zespół aktorów, którzy poddawali ich ćwiczeniom, którym celem jest usunięcie automatyzmów słownych i języka ojczystego, stworzenie takiego kodu języka teatralnego, który byłby uniwersalny dla ludzi wszystkich kultur.

Odette Aslan przeprowadziła analizę teatralnych środków technicznych w procesie ich historycznego rozwoju, starała się wskazać na szerokie implikacje natury estetyczno-etycznej, które niesie ze sobą aktywność, jest to bogate i wszechstronne kompendium wiedzy o twórcach teatru i procesach teatralnych, od połowy XIX wieku po ostatnią latę XX wieku, które miały wpływ na formowanie się nowoczesnych metod gry aktorskiej. Nie powiodła się jednak próba definicji istoty gry aktorskiej i odpowiedzi na pytanie, czym jest sztuka aktorska. Zastosowanie chronologii i komparatywy obawiają się wówczas niewłaściwymi narzędziami badawczymi i przy ich udziale nie udało się rozwinąć tych prądów. Do chwili, gdy nie zostanie wypracowana nowa technika badań teatralnych na pytanie autorki: „na czym polegała niepowtarzalność” takiego aktora jak Louis Salou, co stanowiło o indywidualności Gerarda Philpeta w jaki sposób poetyckiego promieniowało ze sceny jego życie „wewnątrz” — odpowiedź nie otrzymamy.

MARIA MULARCZYK

ODGŁOSY 13

1 lipca 1979 r. telewizja polska rozpoczęła nadawanie nowego 8-odcinkowego francuskiego serialu, zrealizowanego na podstawie słynnej powieści Romain Rollanda p.t. „JAN KRZYSZTOF”. Realizator filmu jest prawie nieznaną u nas reżyser francuski Francois Villiers, a głównymi wykonawcami są: Dinah Hinz, Gunar Moeller, Willi Sommetrage i Aurel Betz.

I.

ROMAIN ROLLAND (1866—1944) jest jednym z największych pisarzy francuskich. Studiował historię na uniwersytecie paryskim, ale za temat pracy doktorskiej wybrał „Historię opery w Europie”, którą broniąc przed aeropagiem światłych profesorów Sorbony ilustrował grą na fortepianie. Mianowany profesorem, wykładał początkowo historię sztuki w liceach paryskich, a później już tylko historię muzyki na wyższych uczelniach stolicy Francji. Tworzył również własne kompozycje muzyczne i był wirtuozem w odgryzaniu dzieł Bacha, Beethovena i Mozarta. To właśnie zamiłowanie do muzyki skłoniło go do twórczości literackiej, poświęconej głównie wielkim twórcom muzyki. Znalazło ono pełny odzwierciedlenie w jego szczytowym utworze „Jan Krzysztof”.

Pozostawił po sobie bogatą i różnorodną w formie i treści spuściznę literacką: dramaty, obrazujące między innymi wielką rewolucję francuską („Danton”, „Robespierre”, „Wilki”), powieści („Jan Krzysztof”, „Colas Breugnot”, „Dusza zaczarowana”), studia muzyczne („Muzycy przeszłości”, „Muzycy dzisiejsi”, „Beethoven”, „Haendel”), biografie („Życie Michała Anioła”, „Życie Tolstoj’a”, „Mahatma Gandhi”), artykuły publicystyczne, pamiętniki, listy.

W początkowym okresie jego twórczości literacka była traktowana z dużą powagą i nawet lekceważono. Utwory jego były przeważnie s- takowane przez krytyków i żaden z wydawców nie odważył się ich drukować. Dopiero, wydany w 1903 r. „Beethoven” znalazł uznanie krytyków i czytelników. Od tej chwili z każdym rokiem wzrastała popularność pisarza i jego książek. Szczytowe powodzenie osiągnęła powieść „Jan Krzysztof”, za którą otrzymał Wielką Nagrodę Literacką Akademii Francuskiej w 1913 r. i Nagrodę Nobla w 1916 r. Pojawiają się pierwsze tłumaczenia powieści w języku hiszpańskim,



Romain Rolland

rosyjskim, niemieckim, angielskim, polskim (tłumaczem była córka Henryka Sienkiewicza — Jadwiga).

R. Rolland początkowo z dala trzymał się od polityki. Dopiero wybuch I wojny światowej spowodował zmianę jego poglądów, zwrócił ku ważnym wydarzeniom dziejowym. Zrozumiał, iż jako pisarz nie może zachowywać się biernie wobec doniosłych faktów, iż jego zadaniem jest aktywne zaangażowanie po stronie tych, którzy występują przeciwko wojnie, walczą o sprawiedliwość społeczną.

Od tego czasu aż do końca swego życia był niezmordowanym szermierzem w walce o pokój, wolność i braterstwo ludów. Dawał temu wyraz nie tylko w licznych swych artykułach publicystycznych, prywatnych listach i rozmowach, lecz także w bezpośrednim udziale w pracach Międzynarodowego Komitetu Antyfaszystowskiego, którego był prezesem i w zorganizowanym — wspólnie z Henrykiem Barbussem i Maksymem Gorkim — pierwszym światowym kongresie w obronie pokoju w Amsterdamie w 1932 r. W trzy lata później stanął na czele Światowego Komitetu Obronców Pokoju.

Serdeczne wzięty przyjaźni łączyły pisarza z Polską i z wieli Polakami. W czasie pobytu w Szwajcarii w 1915 r. spotykał się często z przebywającymi wówczas w Vevrey Henrykiem Sienkiewiczem. Obaj pisarze odwiedzali się wzajemnie i przeprowadzali długie serdeczne rozmowy. Na prośbę Rollanda, Sienkiewicz przyrzekł wydać nowo utworzonej bibliotece wojny w Lyonie materiały, dotyczące udziału Polaków w wojnie i ich dążeń do odzyskania niepodległości.

Serdeczne kontakty utrzymywał pisarz z wydawanym w Polsce w 1936 r. piśmie postępowym „Oblicze dnia”. Na prośbę redakcji zgodził się objąć duchowy patronat nad piśmie i przysłać do druku swoje artykuły. Współpracownikami tego pisma byli m. in. A. Strug, Wł. Eroniewski, M. Dąbrowska, L. Kruczkowski, Z. Nałkowska.

W 1944 r. pisarz został zaproszony na pierwsze inauguracyjne zebranie Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Polskiej w Warszawie. Będąc już poddawany ciężko chore, nie mógł wybrać się do Polski. Skreślił tylko do jednego z członków Towarzystwa Mieczysława Bibrowskiego jeden z ostatnich swoich listów, w którym m. in. pisał:

„Spośród wszystkich męczeńskich narodów Europy, Polska nie przestawała być nigdy najeśliwiej krzywdzona... Oby ta straszliwa próba zjednoczyła dwie siostry w cierpieniu i chwale, Polskę i Francję! Świat, który ma ciągle skłonność do popadania w upejunię brutalną siłą i w bierność, potrzeba nieustannego naszego wspólnego porwyku ku postępowi społecznemu i naszego żarliwego uduchowienia”.

Okres II wojny światowej Rolland spędził w rodzinnej Burgundii. Mimo ciężkiej choroby pracował nad wspomnieniami i książką o serdecznym przyjacielu Karolu Peguy, który wydał pierwsze utwory pisarza. Czując zbliżającą się śmierć, pisał ostatnie słowa pożegnania:

„Wierzę w przyszłość — mego kraju i świata”.

Umarł 30 grudnia 1944 r.

II.

„W „Janie Krzysztofie” podjąłem zadanie, by w epoce moralnego i społecznego rozkładu Francji wnieść ogień ducha drzemającego pod popiołem. A w tym celu trzeba było najpierw wymieść nagromadzoną popiół i śmieć, „Targowiskom”, które pochłaniały powietrze i światło, przeciwstawiając niewielki legion dusz nieustraszonych, gotowych na wszelkie ofiary i wolnych od wszelkich kompromisów. Chciałem skupić je dokoła bohatera, który zwołałby je i stał się ich wodzem. A żeby zjawił się ten wódz, musiałem go stworzyć”.

Tak pisał R. Rolland o głównym bohaterze „Jana Krzysztofa” w przedmowie do swego utworu.

„Jan Krzysztof” należy do największych dzieł literatury francuskiej i światowej, za które autor otrzymał nagrodę Nobla. Jest to powieść — rzeka, dziesięciotomowa epicka obraz życia wybranej epoki Francji. Kontynuatorami tego rodzaju utworu byli M. Proust, J. Galsworthy, T. Mann, M. Dąbrowska i inni.

Nad „Janem Krzysztofem” R. Rolland pracował przeszło 20 lat. Pierwszy pomysł utworu zrodził się w czasie pobytu pisarza w Rzymie w 1890 r. Jeszcze wcześniej, w 1888 r., w czasie studiów, zapoznał się po raz pierwszy z materiałami, dotyczącymi epoki, której miał poświęcić swoją powieść. Praca nad ostateczną redakcją utworu pochłonęła około 10 lat. Zaczął ją w Szwajcarii w 1903 r., zaś skończył we Włoszech w 1912 r. Zamierzał napisać jeszcze

jedenasty tom powieści, w którym bohater Jan Krzysztof miał brać udział w akcji rewolucyjnej w Niemczech i w Polsce. Różne okoliczności m. in. choroba, przeszkodziły w realizacji tego planu.

Akcja utworu toczy się głównie w dwóch krajach: Niemczech i Francji, w których bohater styka się z najróżniejszymi przejawami życia ówczesnej Europy. Zrazili go najpierw Niemcy bismarkowskie, hołdujące zasadzie siły jako świętości, pełne kłamstw i obłudy mieszczeńskiej. Zrażony do rodzinnego kraju udał się do Francji, jako wymarzonej krainy postępu i wolności. Ale i tu czekało go rozczarowanie. Ci, którzy uważali się za elitę, czołowy odłam społeczeństwa francuskiego, okazali się pospólitymi kosmopolitami, pełnymi zakłamania i rozkładu moralnego.

Poznał drugą Francję, oddaloną się wyraźnie od pierwszej kosmopolitycznej, która stanowiła środowisko proletariackie robotników, rzemieślników i drobnych urzędników. W autenach i na poddaszach paryskich poznał prawdziwą Francję z ludźmi, których cechowały uczciwość, godność osobista. Zrozumiał, iż jego miejsce jest właśnie przy tych ludziach, dla których powinien żyć i za których należy walczyć.

W wyimaginowanej postaci Jana Krzysztofa, R. Rolland streścił i uosymbolizował najsłodsze swoje marzenia o przyjaźni, miłości i braterstwie, którymi chciał zjednoczyć ludzkość.

III.

W serialu występuje kilkuset wykonawców. W takim ciągu zmieniającym się — jak w kalejdoskopie — tłumie, trudno się zorientować, kto jest kto i w jakim stosunku pozostaje do głównej postaci utworu. Dla orientacji podajemy w minimalnym skrócie charakterystykę głównych postaci. Reprezentują one przede wszystkim trzy pokolenia rodziny Krafftów.

Jan Michał Krafft — dziadek Jana Krzysztofa, wielki miłośnik muzyki, kompozytor i dyrygent orkiestry książęcej, któremu bohater w głównej mierze zawdzięcza karierę muzyczną.

Melchior Krafft — ojciec Jana Krzysztofa, mierny skrzy-



pek teatru nadwornego w miasteczku nadreńskim, nalogowy pijak i tyran rodziny; zginął w tragicznym wypadku w strudze młyńskiej. Luiza Krafft — matka, pochodząca z ludu, b. służąca, pełna poświęcenia dla rodziny, opuszczona przez dwóch młodszych synów całą swą miłość przenosi na Jana Krzysztofa, z którym przebywa w Paryżu i tam umiera na udar serca.

Jan Krzysztof — główny bohater powieści, od najmłodszych lat ciężko pracuje na utrzymanie rodziny. W dzień udziela lekcji muzyki, zaś w nocy tworzy. Dostaje się na dwór wielkiego księcia, zostaje jego nadwornym pianistą. Buntuje się przeciw fałszowi i zakłamaniu w sztuce i w życiu. Daje temu wyraz w artykule zamieszczonym w dzienniku socjalistycznym. Za to zostaje napiętnowany przez władze miejskie i traci posadę na dworze. Opuszcza rodzinny kraj i udaje się do Paryża. Tu cierpi głód i nędzę. Upierzony do elity, przystaje do robotników i postanawia współżyć z nimi i walczyć o ich ludzkie prawa. Bierze udział w jednej z manifestacji pierwszomajowych, w której w uniesieniu zabija napastującego kalekę policjanta. Zmuszony jest opuścić Francję. Uduje się do Włoch i Szwajcarii, gdzie spędza resztę życia.

Rudolf i Ernest Krafftowie — bracia Jana Krzysztofa uprzedzeni są do niego, zrywają z nim i z matką wszelkie więzy rodzinne, udając się do obcych krajów.

Otto Diener — syn bogatego kupca, przyjaciel Jana Krzysztofa w czasie jego pobytu w Niemczech.

Minna Kerich — córka radcy stanu z Berlina, pierwsza przyjaźni i miłość Jana Krzysztofa, brutalnie zerwana za sprawą matki panny i braci bohatera.

Sabina Froehlich — wdowa, jedna z wielu sympatii Jana Krzysztofa.

Róża Vogel — córka urzędnika książęcego, kochająca się w Janie Krzysztofie bez wzajemności.

Ada — Adelheid — panna z magazynu mód, przełotna miłość Jana Krzysztofa.

Angelika Reinhard — żona profesora nauk przyrodniczych, utrzymująca stosunki towarzyskie z Janem Krzysztofem.

Franciszek Maria Hassler — kompozytor niemiecki.

Peter Schulz — entuzjasta muzyki Jana Krzysztofa.

Sylwin Kohn — przyjaciel szkolny Jana Krzysztofa.

Koleta Stevenson — bogata paryżanka, w której Jan Krzysztof kochał się bez wzajemności.

Lucjan Lévy - Coeur — pisarz francuski, zwalczający zakłócenie wszystko to, co odnosiło się do dawnego ginącego społeczeństwa francuskiego: rodzinę, małżeństwo, religię, ojczyznę.

Gracja — kuzynka Kolety Stevenson, darząca Jana Krzysztofa głębokim uczuciem.

Sydonia — córka bretońskich chłopów, ciężka swą pracą służącą w Paryżu pomagającą siostrze w kształceniu się na nauczycielkę, zdobyła wdzięczność i miłość Jana Krzysztofa, pielęgnując go w czasie choroby.

Olivier Jeaninn — zwolennik postępu i przemian społecznych, serdeczny przyjaciel Jana Krzysztofa, wprowadził go do środowiska proletariatu paryskiego, ginie w czasie jednej manifestacji 1-majowej.

Antonina Jeanina — siostra Oliviera, nauczycielka, poświęca się dla przyszłości brata, żywi głęboką przyjaźń dla Jana Krzysztofa.

Jerzy Jeaninn — syn Oliviera, w przeciwieństwie do ojca działacza nacjonalistycznego odłam młodzieży francuskiej, poślubia Aurorę, córkę Gracji, dawniej sympatii Jana Krzysztofa.

Franciszka Gourdon — aktorka, przyjaciółka Jana Krzysztofa w czasie jego pobytu w Paryżu.

Eryk Braun — lekarz, przyjaciel Jana Krzysztofa, przebywającego czasowo w Szwajcarii.

Anna Braun — żona lekarza, kochanka Jana Krzysztofa.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Część II

Profesor jadł bez apetytu.
— Przygotuj mi, Ludwiczku, nitroglicerinę — powiedział odsuwając talerz.

— Złe się pan profesor czuje? — przestraszył się.
— Bynajmniej — zaprzeczył. — To tylko na wszelki wypadek.

Ale ja się przerażam, gdyż coś podobnego się nie zdarzało, i wyrażam gotowość pozostania w domu. Sprzeciwił się temu stanowczo.

— Zauważ, że cię o to prosiłem. Stawo ci daje, że to dla własnego samopoczucia. Chciałem mieć lekarstwa pod ręką.

Zabrałem talerz i zaniosłem do zlewomywaka. Następnie zabrałem drugi talerz, umyłem i byłem gotów do wyjścia. Wtedy profesor zaproponował:

— Może byś zagrał, Ludwiczku, parę taktów z Ballady f-moll?

Już jednak po kilkunastu taktach usłyszałem ostrzeżenie:

— Nie myślisz o grze. Myślisz o czymś innym. Uważaj, Ludwiczku, na całkowite rozluźnienie przedręczy. I spiewność, spiewność, Ludwiczku! Zaden utwor nie posiada takiego wypięwu, jak ta „Fantazja”. Dobrze — pochwalim cię — i nie zapomnij, że z głębią i swobodą wykonania przychodzi właściwy każdemu utworowi rytm, który w muzyce jest jak puls żywego organizmu.

Grałem jeszcze kilka minut. Zamknąłem dekiel, położyłem ręce na błyszczącej pokrywce i zamyśliłem się na sekundę. Nie miałem prawa obrażać Moniki kładąc jej długi czadek i musiałem wstać do fortepianu.

I znów pośpiech. Pędziłem Piotrkowską do taksówki. Ogromna, czarna jak atrament chmura zakryła słońce. Miasto pograżyło się w mroku jak u schyłku dnia. Po pięciu minutach byłem przed umówioną kawiarnią. Monika przechadzała się wzdłuż ukwieconego płotu ogródka z kolorowymi parasolami nad mrowiem stolików. Nie było ani jednego wolnego miejsca.

— Dokąd chcesz pójść? — zapytałem.

— Chodźmy tam, gdzie nikt nas nie pozna.

— Jest tutaj, za rogiem, drugorzędna knajpka. Towarzystwo spod gwóźdźla, ale wesołe.

— Widzę, że mnie rozumiesz — zgodziła się.

— Nie będziesz się bała?

— Nie wiem.

Skręciliśmy w boczną uliczkę. Z lokalu wylewał się gwar i brzęcząca, łamiąca muzyka z elektrycznej pianoli. Koło wejścia i przy bucie tłoczył się zgłębiony tłumek robotników, pijacków i bałuckich ewaników.

— Napitabym się wódki — wyraziła życzenie.

— Brawo! — pochwaliłem. — To mi się podoba. Ja też bym się napił czegoś mocnego.

Śmialiśmy się. Radość życia w podrzędnej knajpce „Pod jeleniem”. Przestraszyłem się, że znalazłem się znów na orbicie wpływów tej dziewczyny, ale było za późno, żeby się cofać. Z łalem myślałem, że będę musiał znów od niej uciekać, od czaru, który na mnie rzuciła, bo to była czarodziejka, czarownicą, słowo daje, mówiłem sobie, szumiło mi w uszach, byłem w jej rękach miękki jak wosk, rozmyślałem zamawiając w bufecie dwa kielszki czystej. Trzeba było oblać dzisiejsze spotkanie i naszą wczorajszą noc. Speszylem się, czy nie byłem wczoraj zbyt brutalny. Brak doświadczenia zastępowałem gwałtownością, Monika broniła się, ale dziewczyny podobno zawsze się bronią w takich sytuacjach.

Siedzieliśmy na wysokich stołkach, całowaliśmy się widząc odbicie naszych twarzy, palających

szczęściem, w tafelkach luster. Pięknym. Mocna. Całujemy się. Ludzie śmieją się, witają, żegnają, jedzą, piją, klócą się, wchodzą, wychodzą. Hałasy, wiaty, ferajna na pełnym gazie. Sentymentalne słowa i melodia piosenki unoszą się nad gwarem: „Dobrze będzie nam jak w niebie, pocatunków dasz mi moc”, wyspiewywał tenor liryczny z pianoli. Monika, rumieńce, uśmiech, pocatunek.

— Tata telefonował z Warszawy, że wróci dopiero jutro. Ma sprawę w Sądzie Najwyższym. Przyjdiesz dziś do mnie?

— Nie wiem — odpowiadam, bo nagle budzę się z oczarowania i w oczach staje mi „Undiqua”. W moim widzeniu świata otworzyła się szczelina, przez którą przeciska się zmora. Ta zmora to klika, która może demonizować, ale nie może się od tego demonu uwolnić. Zagnieździł się we mnie lęk przed tym, czego mogę się od kliki spodziewać. Koteria stała się dla mnie magiczną siłą ciemności, w obrębie których żyję i duszę się pod naciskiem brutalnego zagrożenia. Któż im przeszkodzi wy-

nawet nieszczęście z poprzedniej fazy można polubić, jako zadatek spodziewanej rozkoszy.

Kim jesteś Moniko? — zapytywałem siebie. Czy czarownicą, czy Primavera? A głośno:

— Ty mnie się strzeż, dziewczyno! Tenor z pianoli skarżył się nostalgicznie: „Dłuuuż tu nie mogę zostać, czeka na mnie leśna brzo”. Przypomniało mi się zebranie w „Undiqua”. Spojrzałem na zegarek.

— Znowu patrzysz na zegarek — poskarżyła się.

— Muszę wracać na zebranie.

— Więc co będzie z nami?

— Nie wiem.

Pomyślałem, że od pewnego czasu nic mi się nie udaje, mam złą passę. Klika odgrażała się, że mnie zniszczy za artykuł w „Głosie”. Muszę wymyślić coś, żeby nie zawracać na próżno głowy dziewczynie. Ale przecież nie potrzebuję nie zmyślać. Czy nie jest prawdą, że nie mogę się z nią związać, bo nie dałbym rady wszystkiemu, czego wymaga ode mnie życie? „Undiqua” i muzyka, profesor i jeszcze na do-

— Odpowiedziałem, że nie chcę być adwokatem. To głętki zawód.

— Co to znaczy głętki?

— Mam ci tłumaczyć? Głętki to znaczy, że w tym zawodzie jest dużo okazji do kretactwa.

— Uczciwy człowiek nie skorzysta z takich okazji. A ty przecież jesteś rygorystą i cnotliwym jak Katon — roześmiała się. — Życie byś sobie prędzej odebrał, niż dopuścił się jakiegos świństwa.

Odburknąłem byle co, niezadowolony, że się ze mną naśmiewała.

— Zresztą to nieprawda. Głętki? Też wymyśliłeś! — oponowała.

— Mój tato mówi, że adwokatatura i medycyna to najbardziej humanitarne zawody. Adwokaci to obrońcy ludzi nieszczęśliwych, wykończonych i skrzywdzonych przez los, zle wychowawanie domowe i tak dalej. Adwokaci uzmysławiają sędziom, nieraz głuchym na głos serca, okoliczności i tarapaty, w jakich znaleźli się pod sąd, wykrywają przyczyny, które doprowadziły ludzi do upadku i kolizji z prawem.

Trafiałem na przerwę. W korytarzu parę osób paliło papierosy. Nie mogłem na razie odnaleźć garbusa. Dopiero po chwili zobaczyłem go w towarzystwie kobiet, Kamińskiej, Duninówny, Witkowskiej i Kosówny. Przysiadłem się, zapytałem, co słychać. Poinformował mnie, że Ceregra miał referat i że przyszli towarzysze z Komitetu, po czym wyjął dużą zapalniczkę w kształcie rewolweru i podsunął Kamińskiej płomyk:

— Proszę, widzę, że ręce się pani trzęsą i nie może pani zapalić papierosa.

— W oczach się panu troi, panie Rapalski — broniła się Kamińska.

— Czym się pani tak denerwuje?

— My wszyscy się denerwujemy, proszę pana — Duninówna przyszła koleżance z pomocą.

— Czym?

— Panie, czy pan nie rozumie, że tu dzisiaj idzie gra o wszystko? — ofuknęła go personalna Witkowska.

— Nie rozumiem, o czym pani mówi?

— Czy pan spadł z księżycą? — starsza księgowa mówiła półgłosem, rozglądając się przeczornie dookoła.

Garbus wymamrotał coś, czego nikt nie dosłyszał.

— Klika, drogi panie. Klika psuje nam wszystkim nerwy — wyskandowała ścisłym głosem kasjerka.

Garbus odsunął się od Kamińskiej, wparł się mocno plecami w oparcie krzesła i oświadczył zdecydowanym głosem, że nie słyszał i nie wie nic o żadnej klice.

Roześmiałem się głośno.

— Nie wiem nic o żadnej klice — powtórzył zimno.

Cisza pełna zdumienia. Kobiety spojrzały po sobie wymownie.

— O, teraz tam! — wykrzyknęła Kosówna wskazując gestem ręki na drugą stronę pomieszczenia. — Ach, jak on mi się podoba! Starszy, dystyngowany pan!

Głowy kobiet i mężczyzn obróciły się w kierunku wskazanym przez młodszą księgową. Przy regałach stał nieznany mi mężczyzna w fantazyjnej marynarce z goździkiem w butonierce.

— Czego ten oryginał tam szuka?

— Zdziwiła się Duninówna. — Przecież na regałach nic nie ma.

Na podium wszedł woźny i postawił na stole szklanki i butelki z wodą mineralną.

— Koniec przerwy! — ogłosił Rapalski.

Osoby powołane uprzednio do prezydium zaczęły wchodzić na podium z nie heblowanych desek i zajmować miejsca za stołem. Pierwsza weszła pani Lala w futrze z popielic. Następnie zasiadł za stołem dyrektor naczelny Milde, za nim — Ceregra, za wicedyrektorem — nacelnik wydziału usług Tułoczko, przysiadłszy jęgością z baniasnym brzuskiem, neutralny, nie związany z żadnym ze skłóconych ugrupowań w „Undiqua”, za Tułoczka — magazynier Sapiński i ostatni — pan Miecio, któremu powierzono obowiązki protokolanta, zajęł miejsce w szczytce stołu.

Poczułem czyjś dotknięcie, owionął mnie zapach perfum.

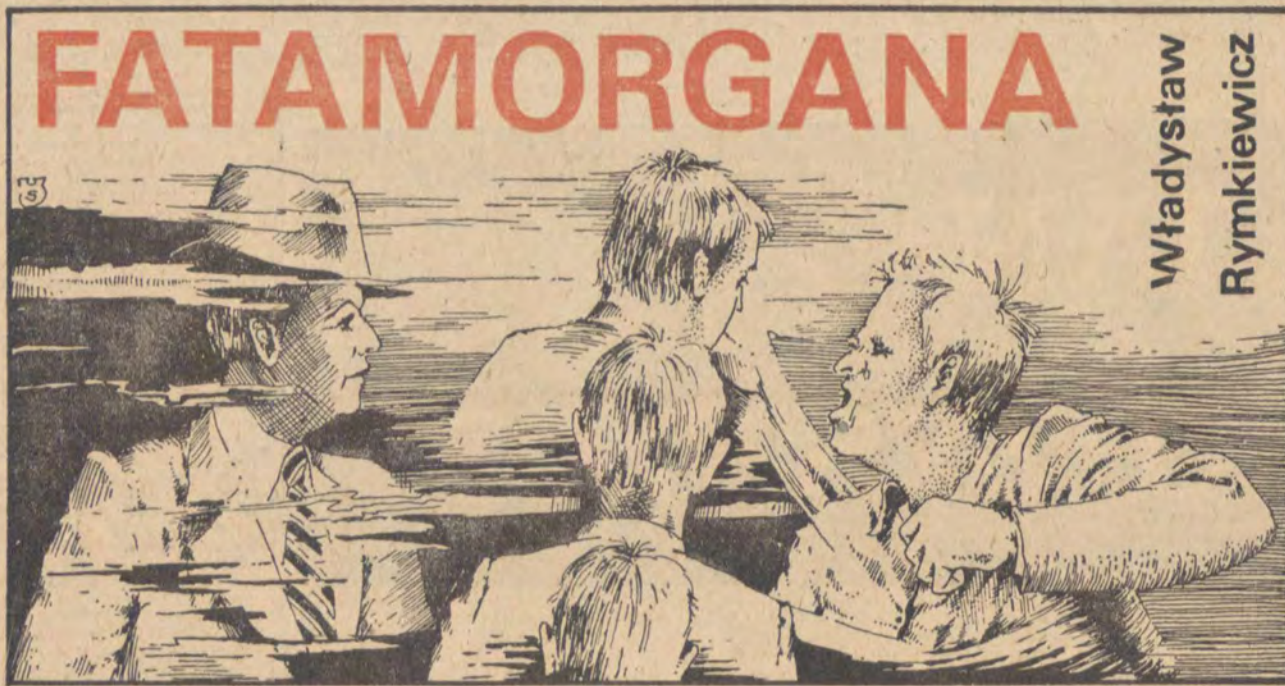
— Spójrzcie, kolego, co ten oryginał tam wyprawia!

Wstałem i spojrzałem w kierunku wskazanym przez Duninównę. Mężczyzna w welwetowej marynarce poszukiwał czegoś na półkach regał. Manipulacje nieznanego zwróciły uwagę osób zasiadających w prezydium.

— Halo, kolego! — zawołał przezwodniczący. — Co wy tam robicie?

Zebrani zaczęli gremialnie wstawać, zaciekawieni poczynaniami mężczyzny z goździkiem w butonierce.

C.d.n.



toczyć mi proces o zniesławienie?

— Nie odpowiedziałem na moje pytanie — przypomniała mi Monika, i zaraz wytacza oskarżenie — tak samo, jak nie odpowiedziałem na moje telefon. Ja płakałam, dzwoniłam, ale nie miałam odwagi odezwać się, bo to było twoim obowiązkiem zadzwonić do mnie.

— To od ciebie były te głuche telefony? Domyślałem się.

— I nie zadzwoniłeś do mnie. Okrutny!

— Nie chciałem cię niepokoić.

— Miesiąc temu też tak było, że nie dawałeś o sobie znać. Nie telefonowałeś, w ogóle nie miałam od ciebie znaku życia — głos Moniki apelował do mojego serca. — Ja rozpaczalam. Gdybyś wiedział, ile nie przespanych nocy jestem mi winien! Ale nie miałam o to żalu.

Mówiłam sobie, że cierpieniem zapracuję sobie na lepszą przyszłość.

— Co to za bezdurna filozofia? — podparłem się obu łokciami na pulpicie, ścisnąłem pięściami skronie.

— Co to za metafizyka?

A Monika mi na to, że istnieje równowaga kosmiczna. I dalej wyjaśniała, że działa prawo zmiennych serli, i zrobiła mi wykład, że człowiek nie może być zawsze szczęśliwy albo nieszczęśliwy. Dlatego trzeba płacić daninę należną cierpieniu, żeby w następnej, zmiennej fazie korzystać z pełni szczęścia. Wtedy

datę miłość i kobieta, która będzie chciała, żeby był tylko dla niej. Nie zostawia niedołęznego profesora jego losowi. Nie wyrzeknę się muzyki. Nie przestanę pracować w „Undiqua” lub gdzie indziej i nie pójdę na garnuszek do żony.

— Najlepiej ty mnie rzuć, bo nie będziesz miała ze mnie poechy — mówię z wieloletnim humorem.

— Ja się nie nadaję na męża.

Objąłem łagodnie palcami szyję dziewczyny, jak delikatne podgardle gołębia pulsujące mi w dłoni.

— Teraz już za późno.

Nie zwróciłem uwagi na te słowa, nie przywiązywałem do nich znaczenia. Nurtował mnie niepokój, że mogą zauważyć moją nieobecność na zebraniu i znów się do mnie przycepią.

— Powiedz, co dla ciebie najważniejsze? — spytała.

— Muzyka — odpowiedziałem bez namysłu.

— Muzyka — powtórzyła zasmuciona. — Ty, tak czuły wczoraj, a tak okrutny dzisiaj!

— Ty również jesteś dla mnie ważna — poprawiłem się, żeby nie robić dziewczynie przykrości.

— Więc dlaczego nie chcesz, żeby tak było, jak proponowałam?

— To znaczy, jak?

— Mój tato weźmie cię do Ze-

spotu jako aplikanta.

A tam, austriackie gadanie, pomyślałem, lecz nie powiedziałem nic, nie chciałem robić dziewczynie przykrości.

— A weź, ilu mecenasów pracuje społecznie i jest obrońcami wdów i sierot — wywodziła sentymentalnie. Nie omieszkala przy tym dodać, że będę dobrze zarabiał.

Chciałem odpowiedzieć, że mierzi mnie pazerność, nie myślę o dużych zarobkach, o tym, żeby mieć więcej i jeszcze więcej, aż do udławienia się, ale w porę ugryzłem się w język i odparłem, że nie wierzę w zarobki aplikantki. Musiałabym być u niej — córki bardzo zamożnego mecenasa — na garnuszkę, na to zaś nigdy się nie zgodzę.

— Falszywa ambicja. Przecież się kochamy — mówiła beznadziejnie, ze łzami w oczach.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Rozdzieliło nas przykre milczenie.

Nagle zsunęła się z wysokiego stołka i zaczęła przepychać się przez tłumek mężczyzn, cuchnących wódką, piwem i potem.

Zatkalo mnie. Nie spodziewałem się takiego finału. Uregulowałem rachunek i wyszedłem na ulicę. Rozglądałem się za Moniką. Nie było jej nigdzie. Za to na postoju czekały taksówki. Wsiadłem i kazałem zawieźć się do „Undiqua”.

KTÓREDO DO HISTORII?



Legends nie rodzą się bez powodu. Są jakby odpowiedzi na społeczne zapotrzebowanie. Henryk Sienkiewicz stworzył bohatera, który zabijał Andrzeja Kmicica — który pod Czestochową wysadził w powietrze szwedzką kolumnę. Historycy mają wprawdzie w tej sprawie inne zdanie i twierdzą, że to, co tak odlegnie wymyślił i opisał Henryk Sienkiewicz jest tylko legendą. Z prawdą historyczną nie ma to wiele wspólnego. Ale zdanie historyków dotarło do świadomości nie-licznych. O pięknej legendzie wiedzą wszyscy i każde nowe pokolenie czytelników będzie przeżywało bohaterskie przygody Andrzeja Kmicica na nowo. Różne piękne legendy powstawały i będą powstawały, bo są potrzebne. Przykład z Andrzejem Kmicicem, który pod Czestochową wysadził kolumnę nie jest odosobniony. W czasach, kiedy naród polski cierpił pod zaborem potrzebne były takie krzepiące ducha opowieści, potrzeba była przypomnieć ludziom wspaniałą przeszłość Polski, kiedy naród nasz potrafił oprzeć się wielkim przeciwnościom.

Po klęsce wrześniowej w 1939 roku również potrzebne były piękne legendy o tym, jak się polski żołnierz bił na całym świecie. Żołnierz polski istotnie bił się gdzie tylko mógł, a wieść o tym podtrzymywała rodaków na duchu. Ale jak zawsze w legendach prawda miesza się z fikcją, albo zostaje wyolbrzymiona. Mija czas, legendy utrwala się, ale to nie daje spokoju ludziom doceniającym wagę historii dla kształtowania społecznej świadomości i podejmują oni trud odrobienia postaci historycznych, pokazywania ich w rzeczywistym świetle, jako żywych ludzi a nie tylko jako pamiatki narodowe, podejmują trud wyważania prawdy, sprowadzania jej do właściwych rozmiarów. Jednym z takich publicystów był Zbigniew Żalusk. Właśnie MON wydał po raz szósty jego „Przestępstwo do historii”, która tym razem ukazała się jako pierwszy tom „Dzieł wybranych” Zbigniewa Żaluskiego. W następnej kolejności MON wyda „Czterdziesty czwarty”, „Siedem polskich grzechów głównych”, „Złazna na okopie”, „Śkice publicystyczne”.

Zbigniew Żalusk sam był żołnierzem. Przeszedł cały szlak bojowy 3 Dywizji Piechoty im. Kommanda Traugotta. Brał udział w walkach nad Pilicą, na przyczółku czerwikowskim, na Wale Pomorskim, w Kolobrzegu i nad Odrą. Wraz z całą 3 Dywizją Piechoty Wojska Polskiego dotarł nad Łabę. Trudno byłoby zarzucić Zbigniewowi Żaluskemu, że chciałby pomniejszyć trud żołnierzy, a wywyższąć drugich Zbigniew Żalusk był patriotą i zdawał sobie sprawę, że każdy żołnierz na każdym froncie, w każdej formacji bił się za Polskę i że jednakowo trzeba cenić ten trud. Ale to nie znaczy, że trzeba ulegać legendom, nie podejmować działania zmierzającego do prostowania prawdy.

W naszych czasach i nie tylko w Polsce obserwuje się duże zainteresowanie przeszłością. W USA na przykład powstało kilka filmów telewizyjnych, w których pokazuje się różne wydarzenia historyczne mieszając prawdę z fikcją. Historycy zwracają uwagę, że dla wielu ludzi, którzy nie sięgają nigdy po monografie opisujące dane wydarzenia zgodnie z dokumentami i przekazami historycznymi, że dla tych ludzi obraz telewizyjny będzie jedynym źródłem informacji na dany temat. Uwierza więc bez zastrzeżeń i żadna siła nie potrafi już wyznaczyć tej wiary.

W kształtowaniu naszej świadomości historycznej również odegrała wielką rolę literatura. Po wojnie ukazało się wiele książek o kampanii wrześniowej, pisanych przez jej uczestników, ukazujących tę kampanię w bardzo subiektywny, bo jednostkowy sposób. I tak, gdzieś tam między rozpacz, gorzka kęska, gwałtownym poszukiwaniem jej przyczyn i zastanawianiem się nad tym, co dalej, zrodziła się legenda o kawalerzystach szarych z lancami na czołgi, legenda, której nie oparł się nawet Andrzej Wajda w „Lotnie”. Zrodziła się legenda przeciw której zdecydowanie wystąpił Zbigniew Żalusk, dowodząc, że takiej szary w wrześniu 1939 roku nie było.

Zbigniew Żalusk podjął się wielkiego trudnego prostowania zawiłych prawd o polskim udziale w drugiej wojnie światowej. Z sumiennością księgową liczy wystawia naboje przez Niemców we wrześniu 1939 roku i później na zachodnim froncie w maju 1940 roku. Rachunek wychodzi na naszą korzyść. Zbigniew Żalusk nie szuka jednak przyczyn klęski wrześniowej w balaganie w nieudolności dowódców, bo niezupełnie tak było. On widzi przyczyny istotniejsze, bo klasowe, ustrojowe. Do wydarzeń wojennych przykłada miary, jakie daje materializm historyczny, co zmusza do odrzucenia subiektywizmu, a szukania prawdy w świecie działania prawidłowości historycznych.

Inaczej też patrzy na trud polskiego żołnierza poniesionego we wszystkich bitwach. Legenda głosi, że to Polacy zdobyli kłasztory na Monte Cassino i to jest prawda ale legenda milczy dyskretnie na temat wysiłku innych żołnierzy, którzy zginęli przedtem, wielokrotnie szturmuje Monte Cassino tarasując drogę na Rzym trud wszystkich żołnierzy pozwolił wreszcie Polakom zatknąć biało-czerwony sztandar na gruzach klasztoru na Monte Cassino.

Wiele interesujących rzeczy można znaleźć w książkach Zbigniewa Żaluskiego. Pisał on bowiem o sprawach ciałę dla nas aktualnych, o naszej najnowszej historii.

L.W.

Zbigniew Żalusk — „Pisma wybrane — Przestępstwo do historii”. Wydawnictwo MON, Warszawa 1972, str. 469, cena zł 60,-.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

Jesteśmy w środku Lipca — miesiąca, który od lat trzydziestu paru zwykliśmy pisać z dużej litery. W tamto pierwsze lato wolności mówił poeta:

„Pamiętam: ziemia zryte okopy
Oczy dziewcząt błękitne jak len
Kiedy chłopom z folwarcznej biedoty
Pańską ziemię dał PKWN”.

Dzisiaj brzmi to jak historia — i to jest historia. Trzydzieści pięć lat — to niewiele, ale wystarczyło, aby niektóre słowa tego wiersza pokryły się patyną. „Folwarczna biedota” — a co to jest takiego? — zapyta młode pokolenie. Dla nich to już tylko pojęcie z podręcznika. I to dobrze — bo • to przecież szło w tym gigantycznym wirze przemian, którego początek wyznaczył Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Edmund Osmańczyk tak napisze po latach: „Polska Ludowa jest czwartą formacją państwową Polaków. Pierwszą było państwo założone przez Piastów — drugą Unia z Litwą, nazywana Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Trzecie państwo polskie wyrosło na gruzach zaborców i było wielonarodowościową Rzeczpospolitą polskich obywateli. Dopiero czwarta formacja — jest zdominowana absolutnie przez narodowość polską i słuszenie można ją nazwać Rzeczpospolitą Polaków”.

Ta Polska obchodzi swoje urodziny w Lipcu — miesiącu czystego nieba, pogody, kwiatów i zieleni.

W dniu Lipcowego Świąta przesuwa mi się przed oczyma osobisty film dokumentalny w którym odnajduje Piotrkowską ze śladami niemieckich napisów, rumowiska Warszawy, Wrocławia, Szczecina — Nową Hutę i biało-czerwone Fasty... Przypominają się rumowiska lat czter-

dziestych — zgruzowane miasta i puste wsie Dolnego Śląska. Nakładają się na nie obrazy lat późniejszych — dymiące fabryki, huty i rafinerie, żłokliwie miasta odrodzone z popiołów.

Kiedy w zbiorach współczesnej poezji szukamy strof odpowiednich na to Święto — odnajdujemy je u różnych poetów.

LIPCOWA POEZJA

Układa się z tych wierszy piękna antologia, w której nie brakuje właściwie żadnego znaczącego nazwiska naszej współczesnej literatury. Układa się z tych wierszy antologia naszego trzydziestolecia. Poezja ta jest wyrazem treści żywych i treści rodzących się na nowo. Jest dokumentem współczesności.

Poprzez dzieje narodowej poezji biegnie nie nierozdzielna, która wiąże przeszłość z teraźniejszością. Jest nią nieprzerwany ciąg myśli rewolucyjnej, żywa tradycja walki o postęp i sprawiedliwość. Trzydzieści pięć lat temu ludzie wyszli na ulice smakujące powiew wolności. Umilkły wybuchy bomb i salwy egzekucji.

„Ulice ludne, pełne turkołu i wrzawy.
Znów mnie wabią pomiędzy konstelacje
światel,

Nad Krakowskim Przedmieściem i nad Nowym Światem — znów jak ciałko krwi krąży w arteriach Warszawy”.

Lipiec przyniósł Polsce wolność i pokój — przyniósł inną lepszą pogodę. Zegar historii zaczął odmierzать nowy czas. Zahuczały maszyny fabryk, zadudniły pociągi — wiozące, już nie wojskowe eszelony — a rudę i węgiel.

„Dymią kominy. Dym nad Dąbrową, ponad Sosnowcem, Łodzią, nad Śląskiem.
Dymią odświętnie, dymią na nowo.
Wiele pociągów — wskroś poprzez Polskę.

Idą traktory, idą od świtu, dzwonią kowadła, grają maszyny, rośnie piętrami Rzeczpospolita — dymią kominy, dymią kominy...”

Lipiec — ten ze zwykłego kalendarza i ten z kalendarza Historii — zieleni się nad Polską.

„O kraju, w którym Ojczyzna w każdej zakwitła trawie.
O ziemię rodząca ludzi prostych jak pokój i chleb — wierzymy w ciebie jak w sztandar wiodący ku lepszej sprawie, rozkwitający co roku jak wiecznie zielony szczyt”.

Nad zielonym Lipcem powiewa biało-czerwony sztandar wiodący ku lepszej sprawie.

WIDOK

Z GALERKI

STANISŁAW BURZYŃSKI



Strzelający jedenastkę stoi jak struty:
„Jak mu strzelić, gdy oślepią ZŁOTE BUTY!”

Rys: Stanisław This-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

Nie jest to nic nowego. Wiele z nas zapewne pamięta rodzinny album. Najczęściej przechowywały go babie, siadając uroczysto w długie jesienne czy zimowe wieczory i opowiadając rodzinne losy i legendy. Oto dziełko jak był młody, oto twój tatęś zupełnie malutki, a to babcia spaceruje...

Czy my dziś mamy rodzinne albumy? Być może mamy szufladę szafy czy biurko domowych wypchanie licznymi zdjęciami, do których nikt nie zagląda, bo w czasie ich to nie ma i obojętne. A szkoda. Głównie przez to rodzinne legendy, odchodzą wraz z ludźmi ich przyczyny, przeżycia, refleksje.

Kawałek kartonu pokryty emulcją staje się bez tych legend mało użyteczny. Ot jacyś obcy ludzie stoja na fotografii, dziwne ubrania, uczesania, co oni tam robia, w jakiej sprawie stoja? Tego już nikt nie wie. Bez opowieści przekazywanej w dłużej zimowe wieczory, jak bałki o dawnym życiu same fotki są martwe, bez treści.

A przecież interesujemy się przeszłością. Mam poczucie tego, że przeszłość waży wielce na teraźniejszości, że coś tej przeszłości zawdzięczamy. Czyż te przeszłości nie kształtowały tylko wielkie wydarzenia, wielkie czyny, czy nie ma tej utrwalonej również w rodzinnej tradycji. Dzisiejszą Polskę budowali

wspólnym wysiłkiem. Mieliśmy dnie radosne, smutne, a czasem wiało tragedią. Ale jakoś przetrwali, w wszystko, pokonywaliśmy trudności. Dziś to już tylko wspomnienia. Czyż one nie zainteresują młodych?

Warto gromadzić wspomnienia, warto gromadzić rodzinne pamiątki, bo one kształtują tradycję.

ALBUM RODZINNY

Je, są jej materialnymi wykładnikami, pomagają utrwalac wspomnienia i przekazywać je młodszy. Tego nie zastąpią izby tradycji, jakie często — i bardzo dobrze — tworzy się w fabrykach, szkołach, instytucjach. Tam przechowywane są wspomnienia pewnych wydarzeń z życia określonych zbiorowości. Są tam dokumenty walki klasowej, walki z okupantem, dokumenty odbudowy, wysiłku pracy, rozwoju wreszcie naszego kraju. Są to potrzebne dokumenty. Uczymy się z nich o przeszłości, o tradycji, że tradycja jest potrzebna, pomagają zrozumieć jej rolę w kształtowaniu teraźniejszości. Przechodząc do izby tradycji widzimy materialne podwaliny teraźniejszości i ludzi.

którzy się do tego przyczynili. Szanujmy wspomnienia, ale nie tylko te najważniejsze, wspomnienia naszej zbiorowości, w której przechodziło nam dziać. Szanujmy też nasze rodzinne wspomnienia.

Izby tradycji, choć to się może komuś inaczej wydawać, pokazują, że nasze pamiątki gromadzi

się nie tylko w wielkich ogólnonarodowych muzeach. Pokazuje to, że w każdym małym czy dużym zbiorowości istnieje potrzeba utrwalania tradycji, tworzenia materialnej bazy dla zachowania wspomnień. Pokazuje to również, że niekoniecznie trzeba ulegać martwocie muzeum, że pamiątki można wykorzystywać dla kształtowania świadomości społecznej młodych: dla uczenia ich szacunku do przeszłości, na konkretnych, najbliższych przykładach. Muzea — może to dziwnie zabrzmieć — też mogą być żywe, powinny nawet być żywe. Zachęcam więc wszystkich do gromadzenia pamiątek. Kiedys telewizja pokazywała szuflady różnych ludzi. Każdy z nas ma jakąś szufladę, w której leżą

MARCIN RODAK

SPORT

WARTO PAMIĘTAĆ

Wielkie wydarzenia sportowe. Ot, choćby taki mecz Polska — Holandia na stadionie śląskim w Chorzowie. Ileż to emocji. Wszyscy skłonni byli uznać holenderskich piłkarzy za potencjalnych zwycięzców. — Oby tylko naszym dużo nie wstępił — wzdychali kibice, zasiedlając przed telewizorami. A tu niespodzianka. Polacy wygrali. Emocji było wiele, ale emocje minęły, przebrzmiały nawet dyskusje nad dalszym losem naszej ekipy w europejskich olimpiadach, do mistrzostw. Historia. To już było. Widziały to miliony dzięki telewizji. Pamięć o tych wydarzeniach jest przez to silniejsza.

A kiedyś tak nie bywało. Na przykład pierwsze lata Wyścigu Pokoju. Przypominam sobie ojca zasiadającego wieczorami przy radiowym głośniku, aby wysłuchać kroniki Wyścigu Pokoju. I pamiętam jak często narzekał i wyrzekał, bo naszym się nie wiodło. Kiedy nadawano sprawozdanie z kolejnego etapu Wyścigu Pokoju, to na ulicach, pod głościami radiowymi ustawiały się tłumy ludzi. A później nie było już takiej potrzeby. Ludzie siadali przed telewizorami. Najpierw w fabrycznych świetlicach, później we własnym domu. Dziś, choć możliwość oglądania walki kolarzy na całej niemal trasie stała się powszechna i można to robić, siedząc we własnym domu, wygodnie w fotelu i pijąc herbatę, to emocje jakby przysiały. A przecież najpiękniejsze zwycięstwa Ryszarda Szurkowskiego czy Stanisława Szosty oglądało się już na telewizyjnym ekranie. Tylko, że to już też historia, pozostająca we wspomnieniach kibiców, zarejestrowana na filmowej czy magnetowidowej taśmie.

Nie wszystko mamy jednak na tej taśmie zarejestrowane. Sporo pozostaje w naszej, jakże zawodnej pamięci. Były na przykład takie uświetnienia Europy w boksie rozgrywane w Warszawie w Halli Mirowskiej. Cała Polska siedziała wtedy przy radiu i słuchała, bodajże sprawozdawcą był wówczas Witold Dobrowolski, jak raz po raz graje Mazurka Dąbrowskiego. Wzruszali się przy tych radiach ludzie, którzy nigdy do tej pory sportem się nie interesowali.

A kto dziś pamięta pierwszą powojenną olimpiadę w Londynie. Nasza ekipa, która tam pojechała, liczyła 24 osoby. Sport polski dopiero się odradzał. Wojna przetrzebiła szeregi sportowców. Kiedy czyta się wspomnienia o tej londyńskiej olimpiadzie, to spotyka się nazwiska, które dziś nie mówią, a które są przecież historią polskiego sportu. Wielkich sukcesów na tej olimpiadzie nie odnieśliśmy. Po prawdzie, to żadnych sukcesów nie było. Tylko Aleksy Antkiewicz wywalczył brązowy medal w wadze piórkowej. No i złoty medal dostał polski kompozytor Zbigniew Turski za „Symfonię olimpijską”, bo to był jeszcze czas, kiedy do konkurencji olimpijskiej stawali literaci, muzycy, artyści. W 1948 roku okazało się, że w kulturze mamy lepszych „zawodników” niż w sporcie. Ale to już też historia. Nie utrwalona na żadnej taśmie, spisana tylko przez świadków i uczestników.

„Spotowice” przypomina sylwetki sportowców minionych 35 lat. Ileż pięknych kart polskiego sportu. Międzynarodowe sukcesy. Co dziś robią dawni mistrzowie? Prowadzą normalne życie jak wszyscy. Jedni zajęli się pracą zgodnie z zawodem, jak zdobyli, inni nadal żyją sportem, trenując młodzież, czy zajmując się sportem naukowo. Dla nich wszystkich jednak sport pozostał ta najpiękniejszą stroną życia, najwspanialszym okresem. Byli bohaterami i dostarczyli nam wiele emocji.

Kiedy przegląda się karty przeszłości polskiej lekkiej atletyki, co i rusz spotyka się nazwisko Ireny Szewińskiej (z domu Kirzenstein). Gdzież to Pani Irena nie była. W 1964 roku w Tokio, w 1968 w Meksyku, w 1972 w Monachium i w 1976 w Montrealu. A oprócz tego mistrzyni lekkoatletyczne, mistrzostwa Europy, mecze, występy w różnych krajach. Niemal epoka w historii polskiego sportu. A przecież Pani Irena szkuje się do Moskwy na kolejną olimpiadę. Chociaż — co prawda z przykrością — trzeba stwierdzić, że czas Ireny Szewińskiej już mija, coraz częściej na bieżni pojawiają się nowe talenty, którym Pani Irena musi ustępować. Cóż, życie!

Pięknie mieliśmy karty w 35-letniej historii polskiego sportu. O porażkach i przegranych nie wspomnę, bo i po co? Warto sięgać do przeszłości, ale nie po to, żeby się cieszyć, tylko po to, żeby się zmotywować do dalszych osiągnięć, aby skuteczniej i prędzej pokonywać okresy słabości i załamania, od jakich sport nasz nie jest wolny.

Rys. Andrzej Adamowicz

BOGDA MADEJ

ZAMIAST FELIETONU



ZAMIAST ZAŁĄCZNIKA

HASŁO NUMERU: W S P O M N I E N I A



— Co pan wyrabia, panie Auguste?
— Jak to co?.. Trenuję, chce wyjechać z naszą reprezentacją olimpijską do Londynu.

ANATOL POTEKOWSKI SPOTKANIE

Jakiś pan zaczął mnie na przystanku tramwajowym. Po chwili wyszło na jaw, że jest to niejaki Franio, z którym sąsiadowałem przed paroma laty.

— Mnie też jest bardzo miło — odparłem.
— Zdzwonimy się — zaproponował.
Zgodziłem się z entuzjazmem.
Po paru dniach Franio zadzwonił. Umówiliśmy się na następny czwartek. W przeddzień Franio zadzwonił ponownie. Było mu bardzo przykro, że sprawy nie cierpiące zwłoki wzywały go do Pabianic. Przełożyliśmy spotkanie na niedzielę.

W sobotę uświadomiłem sobie, że niedzielę mam zajęta. Zawiadomiłem Frania depezą, proponując piątek. Franio wyraził listownie zgodę.

We czwartek koło północy zadzwonił z Pultuska. Coś się przeciągnęło Franiowi ponad planowany termin. Proponował poniedziałek. Zgodziłem się, ale potem musiałem spotkanie przełożyć na wtorek. Zapomniałem o urodzinach Pataszońskiej. Wtorek Franiowi odpowiadał, ale w ostatniej chwili zaszło coś nieprzewidzianego. Zaproponował listownie niedzielę. Propozycję tę zaakceptowałem telefonicznie.

Wczoraj spotkaliśmy się w kawiarni Kocmolech.

— Co nowego? — spytał Franio.
— Jakos powolutku — odpowiedziałem. — A u ciebie?
— Można wytrzymać — rzekł Franio. — Jakoś się żyje.
— To świetnie — ucieszyłem się. — Abyśmy zdrowi byli.
— To najważniejsze — zgodził się Franio.
— Wypiliśmy kawę, potem rozstaliśmy się z ulgą. Na parę lat mamy ze sobą spokój.



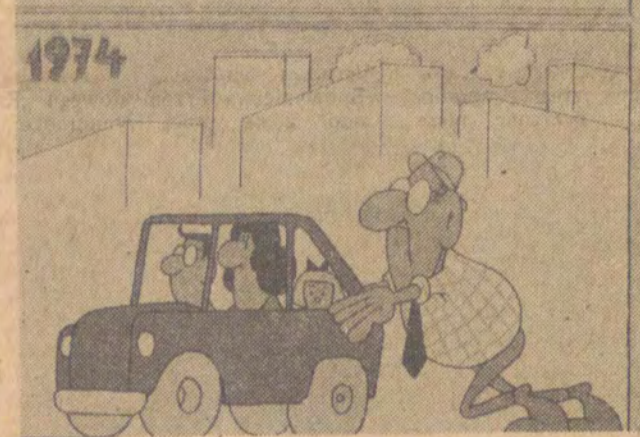
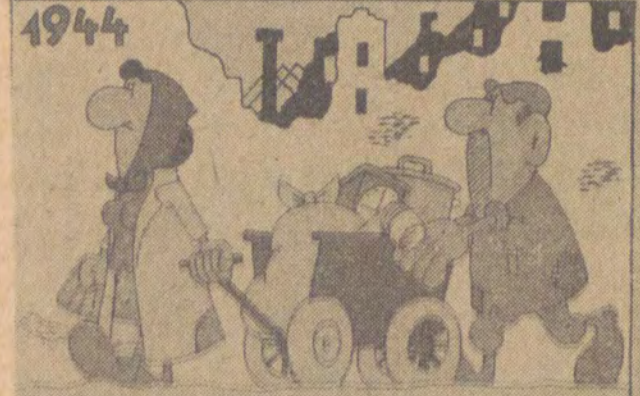
JERZY PACZKOWSKI

OJCOWIE I DZIECI

Znajany, że się w domu zachował cynicznie, Syn rzekł ojcowi: „Mój cynizm ma strony dodatnie: My dziś w domach prywatnych robimy publicznie. To, coście wy w publicznych robili prywatnie”.

karuzela

rok XVIII Nr 15 (23) 15. VIII 1974 r. Cena 5 zł. 24 STRONY



FRASZKA OPTYMISTYCZNA

Wszystko mija.
Nawet najdłuższa żmija.

Stanisław J. Lec

ANTONI MARIANOWICZ

PARTY

Zbierze się dziś u mnie
kilka osób,
ot, gromadka serdecznych przyjaciół,
których będę podejmował w myśl zasady
„czym chata bogata”
i „gość w dom, Bóg w dom”.
Przyjdzie facet, którego nie lubię,
z żoną, której znieść nie mogę,
inny facet, którego nie trawię,
jeszcze inny, którego nie cierpię,
oraz pewna pani,
której nienawidzę.
Pierwszy gość drze koty z drugim,
trzeci z pierwszym
ma na pieńku,
drugi na widok trzeciego
dostaje alergii.
Pogwarzymy sobie,
popijemy,
obgadamy paru nieobcych,
też serdecznych naszych przyjaciół,
po czym wyniosą się wreszcie
zachwyceni,
zjednoczeni w oczernianiu gospodarza.

Kolejny odcinek minipowieści Włodzimierza Krzemińskiego „Wielka pchła” ukaże się w następnym numerze „Załącznika”.

Umówiłem się z Esmeraldyną w kawiarence „Kaprys”. Była to obskurna kawiarenka i znajdowała się w niejakiej odległości od śródmieścia, ale o to nam chodziło: nie ebeliśmy, aby nas widzieli znajomi.

Na miejscu okazało się, że przy jednym ze stolików w zadymionej salce siedział Krzysztof z jakąś rudą dziewczyną, a przy innym Pawełek — z po-
kazanych wymiarów brunetką. Z tych samych zapewne powodów wybrali „Kaprys”.

Nie było rady: po chwili waha-
nia musiałem ukłonić się Krzysztofowi i Pawełkowi. W ich oczach widziałem zaś zgor-
szenie. Oni w moich widzieli prawdopodobnie to samo. Każdy z nas myślał chyba także to

samo: „Ach, ten bęwał na pewno nie będzie dyskretny!”
Kulała rozmowa z Esmeraldyną. Kawa, i tak kiepska, była jeszcze gorsza: ciastka i tak czerstwe, były jeszcze czer-
stwiejsze.

Co jakiś czas zerkaliśmy spo-
de łba na swoje stoliki, pełni
beznadziejnej rozpacz. Ale nagle

JAN HUSZCZA

„Kaprys”

— Popatrz tylko, Feluś, jak
się stolica odbudowuje. Już
godzinę idziemy, a tu tylko
mury, a gruzu ani śladu.

ZE SPORTU

Co nowego w szermierce?

Mila innowacje wprowadził
związek szermierczy. Pod dru-
gą maską zawodnika wpuszcza
się kanarka, który swoimi
podskokami i kwileniem uroz-
maica zawodnikowi mecz. Śpiew
ptaszyny jest osłodą ciężkiej
pracy szermierza. Jednocześnie
drużyna siałka świetnie służy
jako klatka dla wesołego ptasz-
ka.

SŁAWOMIR MROZEK

FILUTEK



Rys. Zbigniew Lengren

MARIAN ZAŁUCKI

SZUKAM WSPÓLNIKA

Postanowiłem dać anonis taki do
dziennika —

odpowiednio duży,

by uwagę skupiał:

CHCĘ ZOSTAĆ PORZĄDNYM

CZŁOWIEKIEM

POSZUKUJĘ WSPÓLNIKA

Sam się nie będę wygłupiał!

JADWIGA RUTKOWSKA

DZENTELMEN

Ogolił się bardzo starannie,
wytańczył policzki wodą kolońską,
przypudrował z lekką błyszczą-
cą nos i uważnie przyjrzał się
sobie w lustrze. Wyraz twarzy
poważny, niemal surowy. Gar-
nitur z szarej flaneli, kremowa
popielinowa koszula — wszystko
było jak należy, tylko krawat?
Czy niezbyt frywolny na tę o-
kazję. Po namyśle wybrał clemen-
tynowy w niewidoczny srebr-
zysty rzudek, wytańczył ręce la-
wenda, na stoliku położył otwar-
ty Portret Doriana Greya, zapalił
chesterfielda i rozciągnął się po
pokoju.

Zaniepokoił go bukiet róż.
Wyglądał zbyt demonstracyjnie.
Wyniosł różę do kuchni.
„Byłaby pewna, że to dla niej
kupiłem. Żeby się przypodobać.
Lepiej nie. Te parcie rozegram
bezbłędnie. Przede wszystkim

nie okaże zdziwienia ani rado-
ści — Chcesz wrócić? — powiem
— a czy zastanowiłaś się do-
brze? Czy nie przychodzisz tu
pod wpływem chwilowego kap-
rysu? Raz mogłem znieść, że
mnie porzucała, ale nie chcę
potem przeżywać powtórną. Po-
myśl, on jest przystojniejszy ode
mnie, może lepszy? — Nie, tego
nie powiem. Dlaczego lepszy?
Wystarczy przystojniejszy. Niech
sama decyduje. Najważniejsze:
nie tracić zimnej krwi”. Od-
chrząknął przed próbą głosu.

Zastanów się, moja droga
— zabrzmiało stanowczo, spo-
kojnie, przekonywująco. — Nie
rób fałszywego kroku, którego
potem oboje musielibyśmy żało-
wać. — Świetnie. Ucieszył się.
To było to, o co mu chodziło.
Spojrzał na zegarek. Dochodziła
piąta. Podszedł jeszcze do lustra.

Spojrzała nań skupiona, surowa
i spokojna twarz. Strzepnęła nie-
widzialny pyłek z modnej klapy,
wysunął dyskretnie rąbek białej
chusteczki. Jeśli wyglądał jak
sygnał zawieszenia broni, to na-
prawdę dyskretny. Oczywiście
żadnych wyrzutów, wspomnień.
To płaskie, niegodne. A on wła-
śnie zachował się jak wzór dzen-
telmena.

Gdy punktualnie o 5 zapa-
kała, podszedł do drzwi spokoj-
nym, elastycznym krokiem.

Lekarz Pogotowia wezwany
przez sąsiadów o 5.20 zajął
jej opatrunek na miejsce.

— Może panią odwiedzić? — za-
proponował.
— Dziękuję — wybetkotała
przez bandaż. — Jestem prze-
cież w domu.